

---

# NOVINY SLAWIA

---



## CZASOPISMO MŁODYCH SLAWISTÓW

PROWADZONE PRZEZ

INSTYTUT FILOLOGII SŁOWIAŃSKIEJ UNIwersYTETU ŚLĄSKIEGO

NR II

ISSN: 2083-6627

LIPIEC 2011

---

### REDAKCJA:

dr Łukasz Godecki, mgr Tymoteusz Cudny oraz  
dr Paulina Pycia, dr Leszek Małczak, dr Dariusz Tkaczewski  
Materiały do numeru II wybrała dr Marta Buczek.

Instytut Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Śląskiego

Noviny Slawia – czasopismo młodych slawistów  
Sosnowiec 41-205, ul. Grota-Roweckiego 5  
www.novinyславia.us.edu.pl  
novinyславia@us.edu.pl



Rok 2010 został ogłoszony na Słowacji rokiem Martina Kukučína w 150 rocznicę jego urodzin. Jest to jeden z najważniejszych przedstawicieli słowackiego realizmu, a jego twórczość odcisnęła znaczące piętno na całokształcie literatury słowackiej. W ramach obchodów roku Martina Kukučína na Słowacji odbywały się liczne spotkania oraz uroczystości z tym związane. Również Instytut Filologii Słowiańskiej na Uniwersytecie Śląskim zorganizował spotkanie poświęcone autorowi. Ze względu na jego ogromny wkład w rozwój literatury słowackiej niniejszy numer „Novin Slawia” zostaje w całości poświęcony temu pisarzowi.

Przekładów dzieł Martina Kukučína podjęli się studenci III i IV roku filologii słowackiej Instytutu Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu. Prac redakcyjnych dokonali: dr Marta Buczek oraz studenci IV roku filologii słowackiej: Katarzyna Białek, Anna Kraszewska, Magdalena Leiszner, Ewa Nowotarska, Adrian Szyndler, Wojciech Widera, Karolina Wójcik.

dr Marta Buczek

### Spis treści:

Wojciech Widera, *Martin Kukučín (17.05.1860 – 21.05.1928) – życie i twórczość* ..... s. 2

#### **Martin Kukučín - twórczość:**

*Ruda jałówka* (fragment) w przekładzie Katarzyny Białek ..... s. 5

*Nieprzebudzony* (fragment) w przekładzie Natalii

*Kiedy baca z Chochołowa umrze* (fragment) w przekładzie Komorowskiej i Aleksandry Skakuj.. s. 6

Magdaleny Jaśy-Łazowskiej i Róży Myśliwiec ... s. 9

*Dies Irae* (fragment) w przekładzie Aleksandry Czernek i Olgi Rojek ..... s. 12

*Wigilia* (fragment) w przekładzie Aleksandry Czernek i Olgi Rojek ..... s. 13

*Dom na uboczu* (fragment) w przekładzie Marka Karwety i Kamila Kazanowskiego ..... s. 14

#### **Martin Kukučín – nawiązania:**

Dana Podracká, *Mieszkam wysoko, tam gdzie są dzwony* w przekładzie Katarzyny Białek ..... s. 17

Anna Kempa, *O paradoksach życia Martina Kukučína* ..... s. 19

## Martin Kukučín (17.05.1860-21.05.1928) życie i twórczość

Martin Kukučín urodził się 17 maja 1860 roku we wsi Jasenová na wschodzie Słowacji. Był jednym z najważniejszych i najwybitniejszych twórców słowackiego realizmu. Prozaik, dramaturg i publicysta, którego dzieła publikowano w licznych czasopismach oraz tłumaczono na wiele języków.

Twórczość pisarza związana jest z folklorem i tradycją ludową. Jej źródła stanowią romantyczne i postromantyczne krótkie opowiadania oraz teorie ówczesnej nauki. Szczególną uwagę poświęcił Kukučín teorii ewolucji Karola Darwina, teorii pozytywizmu Augusta Comte'a oraz fizjologii doświadczalnej opisanej w pracach naukowych Claude'a Bernarda. Na podstawie tych źródeł powstał swoisty rodzaj fikcji literackiej, której najbardziej charakterystyczną cechą jest styl potoczny z bardzo zróżnicowanym i barwnym dialogiem. Szerokie zainteresowania autora, połączone z potocznością i ludowością, pozwoliły na wypracowanie specyficznego stylu jego twórczości, charakteryzującego się humorystyczno-groteskową stylizacją z elementami lirycznego, optymistycznego podtekstu. Aż do końca I wojny światowej były to główne wyznaczniki jego twórczości. Późniejsze jego prace nabrały nieco innego charakteru. Liryczność i potoczność zostały zastąpione introspekcją, natomiast elementy humorystyczno-groteskowe egzystencjalno-nostalgicznymi rozważaniami na temat przeznaczenia, narodu oraz całej ludzkości.

Twórczość pisarza jest ściśle powiązana z jego życiem, inspirowana wydarzeniami rozgrywającymi się na jego przestrzeni. Prawdziwe imię Martina Kukučina brzmiało Matej Bencúr. Jego ojcem był Ján Bencúr – rolnik i sołtys Jasenovej. Pisarz został ochrzczony przez Ctibora Zocha, znanego przedstawiciela ruchu Šturovskiego. W 1868 roku uczęszczał do szkoły ludowej w Jasenovej. Jego nauczycielem był autor podręczników Ján Kožehuba, który zmotywował go do dalszej nauki. Od 1871 do 1874 Kukučín uczył się w gimnazjum w Revuči. Po zamknięciu gimnazjum przeniósł się do Martina, gdzie kontynuował naukę. W 1874 roku dokonano scalenia gruntów rolnych w jego rodzinnej wsi. Wydarzenie to stało się podstawą dla przedstawienia teatralnego pt. *Komasácia* (1884), które jest pierwszym realistycznym dramatem o socjalnej problematyce, pokazującym problemy ówczesnej słowackiej wsi. W 1875 roku pisarz przeniósł się do Bańskiej Bystrzycy, aby dokończyć ostatnią – czwartą klasę gimnazjum. We wrześniu tego samego roku zapisał się na kurs nauczycielski w Klasztorze pod Zníewem. W tym czasie zaprzyjaźnił się z pisarzem i nauczycielem w szkole w Ružomberku Antonem Bielkiem, z którym w późniejszym okresie wspólnie wydawał *Biesedky* (*Biesiadki*) i *Slovenský kalendár* (*Słowacki kalendarz*). W lecie 1877 roku Martin

Kukučín został mianowany nauczycielem w szkole podstawowej w Jasenovej. W 1978 roku skończył kurs i objął stanowisko nauczyciela, na którym pozostawał przez następne 6 lat.

W 1883 roku do swojego zeszytu pod tytułem *Múzy Martina Kukučina* wpisuje pierwsze opowiadanie – *Čo komu sudenô*, które jest opisem życia prostych ludzi na wsi. W tym samym roku napisał również koncept opowiadania *Kus života*, które zostało opublikowane pod tytułem *Na hradskej ceste* (*Na gościncu*) w czasopiśmie „Národné noviny” (6 i 8 lutego, 1883). Jest to pierwsze udokumentowane dzieło Martina Kukučina. Dotyczy ono problemu biedy na Słowacji oraz pokazuje życie jako udrękę w socjalistycznej rzeczywistości. W tym samym roku opublikowane zostają również inne opowiadania: *Čas tratí – čas plati* (*Czas płaci, czas traci*), *Na Jarmok* (*Na jarmark*), *Dedinský jarmok* (*Wiejski jarmark*), *Na Ondreja* (*Na Ondreja*), *Máje* (*Maje*), *Pán majster Obšival* (*Pan majster Obšival*). Ich tematyka ściśle wiąże się z obyczajami i folklorem słowackiej wsi.

W pierwszym numerze czasopisma „Slovenské pohľady”, wydanym w 1884 roku, zostaje opublikowane jego opowiadanie *Hody* (*Gody*). W tym samym roku również w czasopiśmie „Slovenské pohľady” ukazują się opowiadania *Hajtman* (*Hetman*) oraz *Obecné trampoty* (*Ogólne problemy*). Czasopismo przyznaje mu także nagrodę 100 franków za opowiadanie *Susedia* (*Sąsiedzi*), które zwyciężyło konkurs organizowany przez Słowaków mieszkających w Bukareszcie. W roku 1885 ukazują się kolejne opowiadania autora: *Z teplého hniezda* (*Z ciepłego gniazda*), opublikowane w pierwszym numerze „Almanachu mládeže slovenskej”; *Rysavá jalovica* (*Ryża jałowka*), opublikowane w „Slovenskom domovom kalendári II” *Pánsky hájnik* (*Pański zagajnik*), opublikowane w „Letopise Živeny II” i *Na svitaní* (*O świcie*), opublikowane w „Národných novinách”. Problematyka poruszana w tych opowiadaniach koncentruje się głównie wokół stosunków panujących w społeczeństwie słowackim końca XIX wieku. Autor pogłębia tu również portrety psychologiczne swoich bohaterów, co pozwoliło na zwiększenie napięcia i przyspieszenie akcji utworów.

W czerwcu 1885 roku Kukučín zdaje maturę w gimnazjum w Šoproni. Chciał zapisać się na studia teologiczne w Prešporoku, jednak kiedy zdał sobie sprawę, że duchowieństwo jest nastawione antysłowacko, odstąpił od tego pomysłu i wyjechał do Pragi. Tam na Uniwersytecie Karola uczestniczył, początkowo jako wolny słuchacz, w zajęciach na wydziale lekarskim, a jesienią dołączył do grona studentów. Tego samego roku przyłączył się do akademickiego stowarzyszenia słowackich studentów „Detvan”<sup>1</sup>, działającego w Pradze w latach 1882-1948.

<sup>1</sup> Stowarzyszenie słowackich studentów działające w Pradze w latach 1882 – 1948. Założone w okresie prześladowań Słowaków na uczelniach węgierskich, którzy w efekcie przenosili się gromadnie do Czech. Inicjatywa

Rok 1886 obfitował w kolejne publikacje jego opowiadań w różnych czasopismach, ukazujących się w tym czasie na Słowacji. „Slovenské pohľady” opublikowały *Veľkou lyžicou* i *Sviatočné dumy*, „Národné noviny” – *Tri roje cez deň*, *Spod školského prachu*, „Domový kalendár III” – *Ako sa kopú poklady*, „Slovenský obrázkový kalendár XV” – *Neprebudený (Nieprzebudzony)*, „Slovenské besiedky I” – *O Michale*. Jako członek stowarzyszenia „Detvan” pisarz aktywnie uczestniczył w jego życiu. Pisał teksty krytyczne na temat literatury rosyjskiej, między innymi *Wojny i pokoju* Lwa Tołstoja oraz *Dymu* Iwana Turgeniewa. Pod koniec 1886 roku ukazał się serbski przekład jego opowiadania pt.: *Rysavá jalovica*. Kolejne opowiadania: *Visitatio canonica*, *Tiene i svetlo* („Slovenské pohľady”), *Na obecnom salaši*, *Z našej hradskej*, *Na stanici* („Národné noviny”), *Pred skúškou* („Jarý Věk”) wydane zostają w 1887 roku. Autor powraca w nich do wspomnień z dzieciństwa oraz czasów szkolnych, coraz częściej zaczyna podejmować w swoich utworach problematykę społeczną.

Zinteresowanie Kukučina literaturą światową, a w szczególności rosyjską, zaowocowało w 1889 roku przekładem opowiadania *Szynel* Nikołaja Gogola, które ukazało się w czasopiśmie „Slovenské pohľady”. „Národné noviny” natomiast, opublikowały jego przekład innego opowiadania Gogola zatytułowanego *Noc pred Božim narodením (Noc przed bożym narodzeniem)*.

Kukučín był również autorem sztuk teatralnych. Wziął udział w konkursie rozpisany przez „Národné noviny” w 1889 roku, w którym jego sztuka *Komasácia* zdobyła pierwszą nagrodę. Tematem przedstawienia jest scalenie gruntów w jego rodzinnej wsi i podporządkowanie ich jednemu gospodarzowi oraz wszystkie problemy, głównie społeczne, związane z tym wydarzeniem.

Poprzez opowiadania, takie jak: *Keď báčik z Chochoľova umrie (Kiedy wujaszek z Chochoľova umrze)* („Slovenské pohľady”), *Prečo Adam Chvojka spáva teraz už doma* („Cernokňažník”), *Malá črta z veľkého mesta* oraz *Pod vládou ženy* („Národné noviny”), autor najpełniej wyraził swój pogląd na otaczającą go rzeczywistość. Opisuje w nich między innymi upadek zubożalego i rozrzutnego ziemiaństwa oraz krytykuje wynarodowione drobnomieszczactwo. Kolejnymi opowiadaniem poruszającymi tę problematykę są: *Dedinský román*, *Na podkonickom bále*, *Zakáša – darmo je!*, *Regruti*, które ukazały się na łamach czasopisma „Slovenské pohľady” w 1891 roku.

W 1892 roku pisarz przygotował do druku opowiadanie *Dies irae*, którego główną tematykę stanowi rosnąca rola pieniądza oraz konflikt między dwoma ziemiańskimi rodzinami podczas epidemii cholery. Próbował w ten sposób pokazać problemy współczesnej

powołania go, a potem stałej pomocy wyszła z czeskich kręgów słowakofilskich. Członkami byli studenci, uczniowie szkół średnich, a także rzemieślnicy i inni Słowacy zatrudnieni w Pradze.

Słowacji przez pryzmat osobistych interesów. „Slovenské pohľady” publikują wówczas kolejne jego prozy: *Mišo*, *Tichá voda*, *Slepá kura a zrna*, *Konec a začiatok*. Ta ostatnia wydana jako część książkowej edycji czasopisma. Również w czerwcu tego samego roku ukazał się *Almanach Detvana*, którego Martin Kukučín był redaktorem.

Rok 1893 to okres burzliwych zmian w życiu pisarza. 25 lipca uzyskał dyplom lekarza medycyny. Chciał zapisać się na praktykę do szpitala w Bratysławie, jednak nie podobały mu się warunki tam panujące. W czasie świąt Bożego Narodzenia oznajmia swemu przyjacielowi Slávikovi, że został mianowany lekarzem na chorwackiej wyspie Brač we wsi Selce. 1 stycznia 1894 roku wyjeżdża do Chorwacji. Utrzymuje kontakt i prowadzi korespondencję z czasopismami, w których publikował opowiadania. Podczas pobytu w Chorwacji, poprzez swoją twórczość stara się pokazać obraz patriarchalnego społeczeństwa, ulegającego rozkładowi pod naciskiem nowych sił i modeli społecznych. Niemal we wszystkich utworach próbuje porównać środowisko słowackie ze środowiskiem chorwackim. W tym okresie „Slovenské pohľady” zamieszczają na swoich łamach opowiadanie *Zápisky zo smutného domu*. Jest to opis jego własnych przeżyć z czasów, kiedy był na praktyce w Pradze. Stara się opisać zachowania i problemy ludzi mieszkających z nim w tym samym domu.

W latach 1894 – 1906 pisarz przebywa w Chorwacji. Publikuje liczne opowiadania w różnych słowackich i czeskich czasopismach. Są to głównie opisy jego własnych przeżyć i doświadczeń. Autor stara się żyć z nowym społeczeństwem oraz zrozumieć mechanizmy w nim działające. Najważniejsze z opowiadań napisanych w Chorwacji to: *Na lade* (1895), które zostało opublikowane w „Slovenskich pohľadach”, *Prvá zvada* (1896), opublikowane w „Letopise Živeny” i będące pierwszym opowiadaniem napisanym w Dalmacji. W 1898 roku „Slovenské pohľady” zaczynają publikować jego dzienniki z podróży: *V Dalmácii a na Čiernej hore*, *Rijeka – Rohič – Záhreb*. Opisuje w nich swoje podróże po Chorwacji, jednak te utwory mają być jedynie przygotowaniem do napisania jednego z jego największych dzieł.

W 1903 roku „Slovenské pohľady” cyklicznie publikują powieść *Dom v stráni (Dom na uboczu)*, będącą jedną z najważniejszych powieści w jego twórczości. Autor pokazuje w niej szeroką panoramę społeczną: ziemiaństwo, chłopstwo, mieszczaństwo i inteligencję, ich życie, obyczaje i mentalność. Jest to jednocześnie historia miłości między przedstawicielami dwóch odrębnych klas, w której ostateczne rozwiązanie dyktuje rozsądek. Powieść wzbogacona jest o barwne i piękne opisy dalmatyńskiej przyrody.

23 października 1903 roku pisarz ożenił się z Pericą Didolić, będącą córką jego przyjaciela z okresu pobytu w Pradze. W 1906 roku zrzekł się funkcji lekarza w Selcach, gdyż sytuacja pomiędzy rodziną jego żony, a społeczeństwem stała się zbyt napięta. W miarę poznawania

nowej rzeczywistości Kukučín doszedł do wniosku, że relacje w niej panujące są podobne do tych panujących na Słowacji. Potrzebował jedynie czasu, aby się o tym przekonać. W następnym roku wyjeżdża z żoną do Buenos Aires, a potem do stolicy Chile – Santiago. Zdaje egzaminy z języka hiszpańskiego i zaczyna pracować jako lekarz. Początkowo w szpitalu, potem w społeczności południowosłowiańskiej. Za tę pracę został po Pierwszej Wojnie Światowej odznaczony przez króla Piotra I Karadziordziewića orderem św. Sawy IV stopnia.

W 1909 roku przekazuje wszystkie prawa autorskie i obowiązek wydania *Zobraných spisov* Jozefovi Škultétiemu, redaktorowi czasopisma „Slovenské pohľady”. Dzieła były publikowane w latach 1910 – 1927 (I i II tom 1910; III, IV i V tom 1911; VI tom 1920; VII tom 1921; VIII, IX tom 1923; X tom 1924; XI tom 1927). Od 1918 roku zaczyna szukać możliwości powrotu na Słowację. W 1921 roku w liście do Jozefa Škultétiego po raz pierwszy wspomina o notatkach napisanych własnym „alfabetem”, który stworzył dla zatajenia treści swoich zapisów przed celnikami. Innym powodem stworzenia specjalnego pisma jest fakt, że kiedy pisał przy jego pomocy miał więcej czasu na rozmyślanie i analizowanie opisywanych zdarzeń oraz własnej sytuacji. Latem 1922 roku autor wraz z małżonką wraca do ojczyzny. Po drodze do domu odwiedza Paryż. Z tej podróży pochodzi dziennik *Dojmy z Franúzska*, przedstawiający jego przeżycia z miejsc, które zwiedził, i w których mieszkał. We wrześniu przybył do Pragi, gdzie spotkał się z Jaroslavem Vlčkem, Albertem Pražákiem oraz innymi osobami związanymi z życiem kulturalnym Czech i Słowacji. W drodze do rodzinnej wsi Jasenovej odwiedził Martin i Maticę Słowacką. 19 października, po 18 latach wraca do domu. „Slovenské pohľady” opublikowały wówczas fragment jego dziennika z podróży pt.: *Prechádzky po Patagónii*.

Koniec roku 1922 roku związany jest z jego pobytom w Martinie, gdzie zbierał materiał do powieści historycznej pt.: *Lukaš Blahosej Krasoň*, będącej pierwszą częścią zamierzonej tetralogii, z której udało mu się napisać jedynie dwie części. Powraca w niej do okresu Odrodzenia Narodowego, a motywem przewodnim staje się miłość słowackiego poety patriotycznego do czeskiej patriotki.

W roku 1923 Martin Kukučín zaczyna podróżować. Odwiedził między innymi Split, Zadar, Zagrzeb, Crikvenicę oraz Lipik, w którym pracuje nad powieściami *Mať volá*, opowiadającej o życiu chorwackich emigrantów w Chile oraz *Lukaš Blahosej Krasoň*.

W następnym roku wraz z żoną wyjeżdża do Południowej Ameryki uporządkować sprawy związane z majątkiem. Podczas tej podróży jego żona Perica Didolić rozchorowała się psychicznie. Po trzech latach podróży wraca do Zagrzebia, a potem do Lipnika, gdzie odpoczywa. W tym czasie w czasopiśmie „Slovenské pohľady” ukazują się artykuł zatytułowany *Zo starého Martina*, a w Trnawie, nakładem wydawnictwa G.A. Bežu, zostaje opublikowana pierwsza część powieści *Mať volá*. W 1927 pisarz ponownie wraca na Słowację, gdzie bierze udział w festiwalu folklorystycznym w Wysokich Tatrach. W tym roku zostały wydane jego historyczne prozy: *Košútka*, *Klbbá*, *Rozmajrinový mládnik*, w których porusza problemy sobie współczesne. W 1928 „Národné noviny” opublikowały obszerne artykuły pt.: *Závažné skúsenosti* oraz *Ako národ pracuje k oslobodeniu*. Opublikowany został również włoski przekład jego opowiadania pt.: *Zápisky zo smutného domu*.

W kwietniu 1928 roku Martin Kukučín poważnie zachorował na zapalenie płuc. W następstwie komplikacji zmarł 21 maja w szpitalu w Pakracu niedaleko Lipnika i został pochowany na Zagrzebskim cmentarzu Mirogoj. W październiku jego ciało przewieziono na Słowację, a trumnę wystawiono w Narodowym Teatrze w Bratysławie. Następnie przewieziono ją w specjalnym pojeździe do Martina, zatrzymując się po drodze w Trnawie, Nowym Mieście nad Wagiem, Trenčinie i Žylinie. 29 października 1928 roku Martin Kukučín został pochowany z honorami na cmentarzu w Martinie.

Opracował Wojciech Widera na podstawie:

*Panorama slovenskej literatúry*. T. 2. Red. L. Čúzy a kol. Slovenské pedagogické nakladateľstvo - Mladé letá. Bratislava 2005, s. 20-24,

Martin Kukučín. W: *Literatúry zachodniosłowiańskie czasu przelomów 1890-1990*. T.1. *Literatura lużycka i słowacka*. Red. H. Janaszek-Ivaničková. Wydawnictwo „Śląsk”. Katowice 1994, s. 291-294.

Martin Kukučín. W: *Slovník slovenských spisovateľov*. Red. V. Míkula. Nakladateľstvo LIBRI. Praha 2000, s. 260-262.

*Predstavitelia literárneho realizmu*. W: S. Šmatlak: *Dejiny slovenskej literatúry*. T.2. *19. storočie a prvá polovica 20. storočia*. Národné literárne centrum. Bratislava 1999, s. 213-217.

Martin Kukučín, in: *Zoznam slovenských spisovateľov*. Literárne informačné centrum. <http://www.litcentrum.sk/45319>

## Ruda jałówka - Rysavá jalovica

(fragment)

(1885)

- Stary! Bacz na trepy, żebyś ich nie pogubił! Pamiętaj kupić cukier, kawę, miód, bryndzę, mak, pieprz, paprykę, olej i świece. I niechże ci się garnuszki nie potłuką! – wołała Ewa za mężem swoim Adamem Krtem, który właśnie wybierał się na jarmark, żeby zaopatrzyć domostwo w różne drobiazgi.

- Pamiętam, żoneczko, przecie pamiętam, nic a nic nie zapomnę. Obaczysz, kupię wszystko, bylebym miał dobry utarg z trepów.

- Pamiętasz, juści, pamiętasz! Liźniesz ty trochę gorzałki, zaraz zapomnisz kto żeś jest! Jakbym ja tak z tobą poszła, nie mówię, że by było lepiej, przecie...

- Poszła, poszła! Będziemy się razem włóczyć w tym ścisiku? Czego to ci się jeszcze zachciewa! Masz, weź trepy i idź ty je sprzedawać, z Bogiem, a ja ostanę doma.

Krt wcale tak nie myślał, przecie nie mógłby opuścić jarmarku, na który od tak dawna z utęsknieniem czekał, a to dlatego, że w domu jest jak pies na łańcuchu. Żona patrzy na niego jak na łajdaka i dlatego Adam Krt nigdy nie może się do woli zabawić. Nic dziwnego, że spod jarzma żony ucieka na jarmark!

Na plecach ma umocowaną skórzaną sakwę; w niej poupychane trepy, ciżmy i kaptcie, które sam uszył i teraz je idzie sprzedawać. Do sakwy upchał je tak, że cholewki każdej pary zszył grubą dratwą, żeby trzymały się razem. Krt to właściwie gazda, ale zimą szyje z filcowego sukna buty dla chłopów. A to niezbyt trudna robota. Nie trzeba szczególnie uważać na rozmiary, bo im większe, tym lepsze; właściwie nie ma wielkiego wyboru w rozmiarach, to i sam Krt ma tylko trzy kopyta. Jedno małe, dla kobiet, co mają małe nóżki; drugie wielkie, dla chłopów, co potrzebują buciorów wielkich jak koryta, takich, żeby mogli do nich wskoczyć prosto z zapiecka. Trzecie ani małe, ani wielkie, ale takie średnie.

Kopyta Krt zrobił sam i to z bukowego drewna, a jakby je dał swojej żonie, to miałaby co nieść. Ale jest posłusznym mężem; słucha żony, jak Pan Bóg przykazał i ma dla niej wiele szacunku. Nigdy się jej nie sprzeciwia i słucha pobożnie, nawet jak mu powie, żeby wypił dziś jedną szklaneczkę mniej.

Ale nie śmieście się z niego! Co zarobi, to jego żona schowa, zbierając ziarno do ziarnka, żeby była miarka. Co raz wpadnie do sakiewki w skrzyni żony, to Kret stamtąd nie wymodli, nawet gdyby ją ze trzy dni błagał. Jeszcze jak poprosi o trzy grosze na tytoń, to mu da; ale jakby chciał

jeszcze trzy na ten mały kieliszeczek, to nic od niej nie wydrze, nawet do sądnego dnia. Ale Krt nigdy nie jest bez grosza; radzi sobie tak, że przy każdym utargu zabiera w tajemnicy dwa – trzy grosiki i tym pomału gospodaruje. Kiedy żona zauważy różnicę, bo zarobek wydaje się jej za niski, on wtedy wzdycha i bije się w piersi tak długo, aż mu nie uwierzy, że spuścił trzy czy cztery grosze z umówionej ceny.

Jarmarki tracą dla Krta swój urok i przestają go przyciągać, kiedy Ewa stoi mu za plecami, zabierając utargowane pieniądze. Ale dzisiaj w Mrhanowie jest jarmark, najlepszy jarmark dla spragnionej duszy Krta, bo Ewa nie może pójść razem z nim. Niedługo Boże Narodzenie, Krtowa chcąc, nie chcąc, musi zostać w domu, wybielić izbę i przygotować wszystko na nadchodzące święta. A kiedy Krt idzie na jarmark sam, czuje się jak ryba w wodzie albo cap w ogrodzie. Już od dawna ma ochotę na słodziutki likier, klarowny, czysty miód, poza tym chce ulokować trochę grosza na niepewną przyszłość.

Chociaż Ewa już od kilku lat nie była na jarmarku, tym razem ciężko jej było zostać w domu, bo do mężowskiej sakwy włożyła pięćdziesiątkę, za którą ma kupić krowę.

Krt jest zachwycony gospodarnością swojej kobiety. Nawet się nie domyślał, że mógłby u niej być taki pieniądz. Czyż mógłby jej nie słuchać? Czy jego wyschnięte gardło mogłoby kiedykolwiek uzbierać taką sumę? Nie, nigdy, nawet jakby uszył buciory dla całego regimentu! Ileż razy żona musiała dodawać drobne, żeby urosła z tego pięćdziesiątka! Już od roku miała cztery dziesiątki, jedna piątkę i trzy złote, bo drobne szybko wymieniała na banknoty. Półgrosze i te szelągi okrągłe tak szybko się rozchodzą, że człowiek nawet się nie obejrzy, a mieszek już jest pusty. Gdyby Krt zwęszył u żony taką sumę, z pewnością męczyłby ją tak długo, aż by mu nie dała kilku groszy. A tak, wierzył jej, kiedy mu przyrzekała, że nie ma ani szeląga i zaciskał spragnione gardło, żeby go już więcej nie męczyło.

Krtowa już rok temu wybrałaby się kupić jakąś krowę, ale musiała wtedy wydać zaoszczędzone osiem złotych; zostało jej już tylko równe czterdzieści. A za tyle nie da się kupić dobrej krowy. Związała więc mieszek na supeł, żeby dziesiątki się nie rozeszły. I nie rozeszły się. Ba, nawet teraz, jesienią doszła do nich jeszcze jedna, tak że Krtowa mogła dać mężowi całkiem nową – nowiusienką pięćdziesiątkę, prosto z drukarni.

Krt jeszcze nigdy w życiu nie miał na raz tyle pieniędzy! Nawet wiano żony nie było aż tak wysokie. W myślach liczył, ile kieliszeczków likieru mógłby dostać w zamian za ten paperek. No, na pewno tyle, że wiele wody by upłynęło, zanim by otrzeźwiał. A ile trepów musiałby uszyć za pięćdziesiątkę; na pewno tyle, że zdołałby nimi zatamować

niejeden strumyk. Krt nie wie, co robić z radości. Ach, tyle radości, że musi się napić, inaczej być nie może! Ewa szybko zgadła, czego wysuszona, mężowska dusza pragnie. Na drogę zagrzała mu miodu, aż mu serce w rozkoszy pływało. Przed wypiciem musiał jednak obiecać, że nie będzie miał dziś do czynienia z żadnym karczmazem, i że wróci z jarmarku całkiem trzeźwy. Krt chciał spełnić, co obiecywał i dlatego spokojnie chlipał trunek w domu, żeby gdzie indziej go nie kusiło; na darmo.

Tak wzmocniony, ruszył w drogę. Trepki, które nie zmieściły się do sakwy, szczepione cholewami zawiesił na ogromnym kiju, ten oparł na ramieniu i poszedł na jarmark. Jego ciemne oczka, zazwyczaj malutkie, od wypitego likieru jeszcze bardziej się zwięzły i błyszcząły jak u prawdziwego kreta, takiego, co ryje pod ziemią. Na uszy miał naciągniętą wielką czapę, spod której wystawał tylko koniec jego długiego, chudego nosa. Krt, chociaż nie był stary, nie miał ani jednego zęba. Kiedyś bolał go jeden dziurawy i jakaś stara baba poradziła mu, żeby go obłożył saletrą. Krt posłuchał dobrej rady. Dziurawy ząb już więcej mu nie dokuczał, bo wypadł, a za nim poszły wszystkie zdrowe. Od tego momentu ma z zębami spokój.

Na rękach ma grube, wełniane rękawice z dwoma palcami. Jeden na kciuk, drugi na pozostałe cztery. Prawą ręką podtrzymuje kij na ramieniu, lewą macha w powietrzu, aż kubrak powieszony na sakwie powiewa to w jedną, to w drugą stronę. Jego chód jest taki, jakby prawą nogą stąpał na kopczyk, a lewą w dołek; bo prawa noga była o dwa palce dłuższa niż wybrakowana lewa, dlatego musi utykać.

I tak sadił wielkie kroki, co jakiś czas podrzucając na plecach sakwę przewiazaną sznurami, związanymi w supeł na jego piersiach. Żona włożyła mu też do torby wielki, mocno wypieczony podplomyk, który Krt zjadłby ze smakiem, gdyby tylko miał zęby.

Wszyscy Adamowiccy handlarze już poszli, dlatego Krt musi iść sam. Zmarznięty śnieg skrzypi mu pod nogami a lodowata mżawka osiada na jego nieogolonej twarzy i kudłatej czapce. Długi, obszczypany od mrozu nos poczerwieniał jak piwonja na Zielone Świątki.

*Thumaczenie: Katarzyna Białek*

## Nieprzebudzony

(fragment)

(1886)

Na ziemi leży Ondrasz Machula, huzar z Lenovic. Nie żeby był martwy czy ranny – snuje się po pastwisku, bo nie ma roboty. Jego ciało jest martwą tkanką, znaku życia nie zdradzają nawet nogi położone na koźle do drewna – od czasu do czasu zmożone reumatycznym bólem. Nie zwraca uwagi na natrętne muchy, które dręczą go i pasą mu się na twarzy. Tak dobrze odpoczywa mu się w dusznej spiekocie, nie podniósłby się nawet za pół Lenovic, nie chce przerywać spokojnego odpoczynku. Korzysta z niego nie nieświadomie, tylko zachłannie, łapczywie. Pod zmrużonymi oczami tworzy się najpierw mała czarna kropka, która rośnie, nabiera kolorów, rozszerza się na wszystkie strony. Jednak jeden ruch powieki wystarczy by przegnać urojenie, które pojawia się i potem znika – Ondrasz śni. Któż by nie zazdrościł? Nie musi zajmować się żoną, dziećmi, bydłem, domem, gospodarką, właściwie niczym. Czuje się jak w raj.

Jest huzarem; nie widać jednak konia, który pasłby się obok ani munduru tuszującego braki, których poskapiła mu matka natura. Zamiast tego wszędzie wokół widać jego gęsi, rozpierzchnięte w mniejszych lub większych stadkach. Gęsia republika nie zamierza uznać huzara za swojego wszechmocnego pana – robi tak tylko wtedy, gdy musi. A on nawet nie pomyśli o tym, żeby tę ich wolę łamać, za dużo wysiłku by to wymagało, a i wynik byłby żaden. Gęsi, które

by zawrócił i tak by się za krótką zdrowaśkę rozpierzchnęły po całym pastwisku, a huzar znów by je musiał zaganiać.

Ależ mu dobrze, gdy się tak objaja, toż to i tak jedyna zaleta jego stanu. Dosić się nachodzi po domach, tu i tam – to chociaż, gdy jest w polu, przynajmniej wtedy niech sobie odsapnie. We wsi go przepychają z kąta w kąt – wszystkim zawadza. Tu w polu nie zawadza nikomu, chyba że tej trawie, na której leży, co by jej światło zabierał. Ale do jesieni – Boże mój – nawet ta strata zostanie jej wynagrodzona.

Ondrasz Machula to naprawdę biedne stworzenie boże. Kto tylko nań spojrzy, musi go pożałować. Jakby Stwórca chciał wzbudzić w ludziach zdziwienie, jego obdarzając wszelkimi niedostatkami. Wielka głowa pokryta ostrymi, niepoddającymi się ludzkiej ręce włosami, przypomina zwierzęcą sierść. Niskie czoło, nad wyraz małe oczy, wydatne kości policzkowe, nos rozplaszczony niczym placek i szerokie usta. Postura nieduża, nierozwinięta, zgarbiona. Kiedy kroczy, ręce kolebią mu się wprzód niczym cepy – cała postać mało przypomina człowieka. Ludzie spoglądają nań z politowaniem i traktują go z pewną łagodnością, jak małe, bezbronne dziecko. Ale on sam nie uważa się za kalekę, jest zadowolony z siebie samego, nigdy nie utyskiwał z powodu swojej biedy i niedoli. Co więcej, wydaje się, że sam siebie uważa za pięknego, bo często zatrzymuje się na brzegu moczaru i próżnie przegląda się w brudnej powierzchni wody. Ma gust, potrafi odróżnić ładne od szpetnego – ale do swojej osoby nie jest uprzedzony. No cóż, jest człowiekiem.

Jego rodzice byli bardzo zacynymi gospodarzami z Lenovic. Każdy ich rad widział, porządnym i wyrozumiałym ludzi. Nikt nie mógł powiedzieć o nich złego słowa. I każdy im bardzo współczuł, kiedy urodził im się taki syn, Ondráš. We wsi zaczęto szeptać, że go strzyga wymieniła za ładne, udane dziecko. Inni zaś wytykali położnicy, że się na jarmarku na jakąś paskudę zapatrzyła.

Machul'a rozpacział, jego kobieta miała życiem zapłacić za spójrzanie na własne dziecko. A biedaczka poddała się pokornie woli bożej i z tym większą miłością przytuliła do serca swoje dziecko. Bardziej je kochała takie, niż gdyby było takim, jakim go sobie wyobrażała.

Jednak ojcu nie przypadło do serca. Nie mógł nań ani spojrzeć. Za każdym razem zamierało w nim serce, dokuczało mu palący ból. Często w zadumie siedział przy stole, opierając głowę na dłoni, twarz miał skalaną złymi myślami, rozpaczą. Żona nie odważyła się go spytać, co mu jest; dobrze wiedziała, co go trapi. Raz ośmieliła się mu powiedzieć:

„Jano, nie pragnij niczego. To była boża wola.”

Ten spojrział na nią tępo, a w jego głosie czuć było ton gniewu, którego żona nigdy wcześniej u niego nie słyszała. Z tajonym bólem wykrzyknął:

„Jak bym miał nie pragnąć, jeżeli mam nie dziecko, ale - ach, co” machnął ręką. „To nie dziecko. Wszyscy ludzie się ze mnie podśmiewają – po oczach im widać, jak radują się z mego nieszczęścia. Dobrze, że mi serce nie pęknie. Cieszę się za moimi plecami – myślą, że nie widzę więcej niż czubek nosa.”

„Nikt się z ciebie nie śmieje – nie! Przecie nie są poganami, aby się z twego nieszczęścia śmiać.”

Jano wybuchnął szaleńczym śmiechem. „Ha-ha-ha! Niby się nie śmieją! Dobrze ci powiedzieć, nie śmieją, kiedy się nawet nie pokazujesz między ludźmi – nie śmieją! Szła byś tylko do pola jak ja albo do kowala, wtedy byś zobaczyła, jak się nie śmieją. Czemu by się nie miał śmiać rodzic, który ma dorodne dziecko, z rodzica, który ma nieudane! Boże, gdybym ja miał dziecko, jakiego sobie życzyłem! Ach...”

Jego bolesny jęk wstrząsnął całą duszą żony. Ale przemogła się, podeszła do niego; znała go jako dobrą, potulną duszę, podatną na mądre, łaskawe słowo.

„Widzisz, ja go takiego widzę i jestem szczęśliwa – przecież to tylko stworzenie boże. I ty do niego przywykniesz, najciężej wziąć go na ręce. Jano spróbuj... w końcu jesteś mu ojcem...”

„Nie, Zuza nie! Przestań – nie mogę! Bóg i świat mi świadkiem – nie mogę. Jak tylko o nim pomyślę – mało co

mi serce nie pęknie. Jak miałbym go wziąć na ręce? Byłoby chyba lepiej, gdyby go nie było.”

Zuza zamarła, jej serce wiło się z bólu. Poruszonym, mocnym głosem napominała go:

„Nie bluźnij przeciw Bogu Jano! Dotychczas otrzymywaliśmy od niego tylko dobre rzeczy – a przez jedną złą mielibyśmy mu już urągać? Nie – co nam zesłał, będziemy cierpliwie znosić.”

„Ale wszystkie te dobre rzeczy sto razy bym odpuścił, żeby się to nie było stało – sto razy! Co mam z tego, kiedy wszystkiego mam dość, kiedy nie mam tego komu zostawić?”

„Cóż, nam ludziom nigdy się nie dogodzi. Gdyby teraz spełniły się twoje żądania, i gdyby za to Bóg odebrał ci dom, pole, łąki, majątek, strawę, zdrowie; powiedz, czyż byś mu nie urągał, że nic nie masz z dorodnego syna, kiedy nie masz mu co zostawić? Ja wiem, że byś sobie zaś życzył, aby ci wszystko zwrócił, i syn, aby był taki jak teraz. Ludzie patrzą zawsze za tym, czego nie mają. Tego, co mają nie szanują ani trochę.”

Jano był zrezygnowany, nie potrafił słowem odpowiedzieć. Czuł, że żona ma świętą rację, i że w pełni odgadła, co się w nim dzieje. Całkiem go to wzburzyło. Nie mógł w tej kwestii znieść pouczenia od kobiety; do bólu dołączyła i jego urażona duma. Oko błędziło niespokojnie po izbie, przyjęło niewzruszony wyraz. Trzasnął drzwiami i zirytowany, rozgniewany poszedł.

W karczmie szukał ulgi – pierwszy raz.

Była już ciemna noc, gdy dotoczył się do domu. Żona nie wierzyła własnym oczom, że to możliwe – przecież to nie on, nie jej Jano. Z zapartym tchem obserwowała każdy jego krok. Ale on nie martwił się ani o żonę, ani o nikogo. Wyczerpany rzucił się na ławkę za stołem i mruzczał coś niezrozumiałego przez zęby. Wiercił się na swoim miejscu, ale pożądaný sen nie nadchodził. Dziecko poruszyło się w płachcie i zaczęło płakać. Matka szybko do niego podbiegła i starała się go ukolysać.

„No, czemu nie śpisz? Połóż się i śpij! Niech wrzeszczy, jak chce, nawet do rana!...”

„Połóż się i ty, Jano. Już jest noc.”

„Ja? Ach nie... nie ma spania – tu jest mi dobrze... daj mi spokój...ach, spokój...”

Ostatnie słowa wypowiedział już na wpół śpiąc. Jedną nogą był jeszcze na jawie, druga wkraczała w zakamarki krainy stworzonej przez żywą fantazję. Wzburzona rodzinnym

nieszczęściem i wypitym alkoholem, jakby chciała zakpić z niego, wyczarowała mu słodkie halucynacje, w których świadomość coraz bardziej się zatracala. Z pięknych snów wyrwał go krzyk dziecka, które akurat dzisiaj spało niespokojnie. Jano skoczył na równe nogi i podszedł do żony. Wyszepiał jej coś strasznego. Ona wykrzyknęła z przerażeniem:

„Na Boga - Jano! Odejdź – odejdź! Nie podnoś ręki na pacholę!...”

Jano podniósł dziecko z płachty i trzymał go w objęciach. Ale nie patrzył na nie z miłością. Jego twarz wyrażała surowość, złość, ból. Matka, czując niebezpieczeństwo, doskoczyła do niego i zabrała mu dziecko z rąk. On zatoczył się aż na stół, patrząc na nią zdziwiony; ona, jak stała, z nieuczesanymi włosami, bosa uciekła z dzieckiem do starszej siostry.

Jano legł na ławie i spał aż do białego rana. Kiedy się obudził, głowę miał jakby pustą – nie pamiętał nic dokładnie, ale nieobecność żony i pusta płachta, zawieszona pod sufitem, ułożyły jego myśli w prawidłowej kolejności. Żałował żony i dziecka, zapłakał nad swoim uczynkiem; żałował go, ale nie poszedł po nią, żeby przyprowadzić ją z powrotem do domu. Sam nie wiedział co – ale coś go

powstrzymywało. Został sam. Nie ma mu kto ani ugotować, ani posprzątać – jak smutno mu w domu! Przymknął drzwi i poszedł się pocieszyć tam, gdzie był wczoraj.

Tak to trwało rok – dwa. Jano przywyknął do takiego życia; więcej bywał w karczmie niż w domu. Stracił ten niewielki majątek, który zostawił mu ojciec i nie musiał się martwić komu po swojej śmierci go odda. We wsi nie miał gdzie się schronić – przed zimą schował się do gorzelni. Tam dostanie tyle jada i alkoholu, ile tylko mu się zamarzy. Na wiosnę odszedł i z gorzelni – nie było po nim ani widu, ani słyhu. Będzie gdzieś w Peszcie, a stamtąd gdzieś powędruje, jeśli go wódka jeszcze nie zmorzyła.

Zuza mieszkała u siostry. Kiedy skończyła uczyć dziecko, chodziła na zarobek. Ale całe życie było już dla niej zgorzkniałe, dla niej, zhańbionej kobiety i matki. Omijała ludzi, jak tylko mogła; zniewagę widziała także tam, gdzie jej nie było. Wreszcie śmierć uwolniła ją od wszystkich zmartwień życia. Chłopiec został pod opieką ciotki.

Ale nie miał u niej źle. Dbała o niego jak rodzona matka i do szkoły wyprawiała. A chłopiec uczył się dobrze; było widać, że nawet w tym niepięknym ciele mieszka dusza, taka dusza, jak i u innych. A to było wielką pociechą dla opiekuńczej ciotki – a także i zadośćuczynieniem.

*Tłumaczenie: Natalia Komorowska i Aleksandra Skakuj*



## Kiedy baca z Chochołowa umrze – Ked’ báčik z Chochołova umrie

(fragment)

(1890)

Ondrej Trawa, gazda w Kamienianach, zawiesił gazdowanie na kołku i zajął się kontrabandą. Gazdostwo prowadził jego syn, a on oddał się kupiectwu. Czym właściwie handlował, ciężko jednoznacznie powiedzieć. Podobnie jak mieszczanin zmienia ubrania w zależności od sezonu czy mody, tak Ondrej Trawa w zależności od sytuacji zmieniał towar w swoim kramie. Nie było ani plonów, ani produktów, których by podczas swojego handlu nie dowoził na targ. A co ciekawe i świadczące o jego sprycie - zawsze wiedział, kiedy cenę danego towaru należy obniżyć, a którą za to podwyższyć, żeby na tym zyskać, a nie stracić.

Rzadko bywał w domu, to oczywiste. Rocznicę, święta, niedziele, jeden czy dwa dni odpoczynku – zawsze na wozie, stacji kolejowej czy targu. A raczej targach, bo chodził nie tylko na ten w swojej najbliższej okolicy, ale także do sąsiednich wsi. Nic dziwnego, że znało go tam każde dziecko. Jednak on, jak wszyscy powszechnie znani ludzie, mało kogo znał dobrze albo chociaż z imienia, mimo tego z każdym witał się, jak z dobrym znajomym. Często udawało mu się zmylić ludzi, ponieważ po ubraniu czy sposobie mówienia od razu wpadł na to, kto z której jest wioski, jaki ma zawód i ile zarabia - dzięki temu wiedział, jak się zachować.

-Szczęść Boże, Ondrej! - usłyszał wołanie chłopca w czarnej, zatłuszczonej koszuli. Ondrej od razu wiedział, że skądś zna tego juhasa, ale nie wiedział skąd, ani kiedy z nim ostatnio zamienił słowo.

-Bóg zapłać Djuro! Jak się masz? - pozdrowił go i zarazem na ślepo dorzucił imię.

-Tak sobie, tak sobie. A to mnie jeszcze poznajecie? - ucieszył się juhas. - Zda mi się, żeście o mnie zapomnieli. Jenom Wam tę wełnę sprzedał i jużemy się nigdy nie widzieli...

-Jakże bym cię nie znał, Jureczko! Znam cię jak własnego brata. - I podał mu z uśmiechem rękę.

-No, że mnie tak znacie, no - dziwił się uradowany juhas. - Ale ja jestem Miszo, nie Djuro.

-Ojoj, do diabła z tą moją głową! - I uderzył się szeroką dłonią w czoło. - Jasne, że Miszo, teraz mi to wpadło do głowy.

-Pomyliło się wam z naszym bacą - on jest Djuro.

-Oj-tak-tak - teraz już wiem, już wiem.

-A nie przyjdziecie po wełnę? Znowu jej mamy z pół kwintala. Kręcicie się przy szalasiu w Mitoszynie, widuję was z gruni. Tylko zeskoczyć, pod górę dwadzieścia - trzydzieści kroków, i już! Przyjdźcie!

-A nie naciągacie mnie? Bo wyście...

-Coś spuszcze z ceny ja, coś dodacie wy - no przecież się nie pobijemy.

-Czas już, żebyśmy się rozeszli! Zajdę kiedy. Pozdrów, Miszko, bacę!

Zgłaszali się do Ondreja ludzie, kiedy mieli coś na sprzedaż i potrzebowali pieniędzy. Potrafił taką okazję odpowiednio wykorzystać. Kiedy ktoś mu coś oferował, Ondrej nigdy nie pokazywał, że zależy mu na zakupie. Prędzej szukał wymówki, że na to teraz nie ma żadnego popytu, że to się ciężko składa, w ogóle zawsze znalazł jakiś powód, dla którego nie warto było tego kupować. Ale w końcu dawał się namówić, zawsze jednak bardziej po znajomości, czy przez wzgląd na przyjaźń. Ludzie go wychwalali, że jest dobrym człowiekiem, że warto z nim handlować, bo nie jest chciwy.

A Ondrej chodził sobie po targach i wioskach, handlował i zarabiał pieniądze.

Ze wszystkich zawartych na targu znajomości najbardziej utkwiał mu w pamięci pan Adusz Domanicki.

Widywał go od lat na każdym targu, ale nie znał się z nim, ani nawet jego imienia nie znał. W końcu, po co miałyby się z nim zaznajamiać, skoro nie mieli żadnych wspólnych interesów? Ale to, co było im sądzone musiało się stać. Poznali się bardzo dokładnie.

Było to w zeszłym roku, na Andrzeja, w Podgrodziu na jarmarku. Ondrej sprzedawał wałaskie sukno na rynku. Z samego rana widział pana Adusza, który kręcił się przy kramie. Oglądał kurtki, czapki, w ogóle rzeczy z futra. Tak chodził od kramu do kramu, niczym gospodarz targu, jak gdyby każdego kuśnierza chciał ocenić. Mierzył kurtki podszyte wilczym futrem, tureckim runem baranim, ale żadnej nie kupił. Widać nie mógł dogadać się ze sprzedawcą. Po obiedzie już nie chodził sam, towarzyszyli mu jacyś nowi, bóg wie skąd, ludzie. Wszyscy młodzi, zdrowi, weseli, ale pan Adusz prezentował się najlepiej. Na głowie nasadzony okrągły kapelusik z piórkami głuszca, włosy znad ucha zaczesane do góry, żeby zakrywały całe skronie. Wąsy dumnie kręciły mu się do góry, oczy się błyszczały, usta śmiały - takiego jak pan Adusz próżno szukać na całym jarmarku.

Zatrzymali się przy kramie z piernikami. Nakupił sporą garść marcepanu, trzy serca z lusterkami i ładnymi rymowankami na obrazkach, całą kohortę sznurowanych, co prawda tylko cukrem, huzarów, dwie panny, dwie kolebki z dziećmi w środku, siedmioro dzieci - i inne wyroby sztuki cukierniczej. Cukiernik mu nadskakiwał, bo taki kupiec nie trafił mu się przez calutki dzień. Wtem pan Adusz zaczął się targować. Cukiernik nie chciał tak łatwo zejść z ceny, pan Adusz się zdenerwował - nie kupił nic, prócz tych dwóch kolebek i siedmiorga dzieci, po czym wraz z przyjaciółmi zostawił kram rozczarowanego cukiernika. Kiedy odeszli, Ondrej widział, jak poszturchują się łokciami i śmieją. Pewnie bawili się kosztem cukiernika.

Po jarmarku, kiedy kramy były już poskładane, ułożone na długie wozy i przykryte płachtami obok skrzyń z niesprzedanym towarem, miasto zaczynało cichnąć. Handlarze po części się rozeszli, po części zбочyli z drogi do gościńców i karczm. Ondrej Trawa też zaszedł do

miejskiej gospody, żeby zapisać troski minionego dnia. Za stołem widział pana Adusza z przyjaciółmi, których było jeszcze więcej niż przy kramie cukiernika. Ondrej Trawa stanął na środku izby, wyjął drewnianą fajkę i wytrząsnął z niej popiół na ziemię. Przyglądał się temu dziwnemu towarzystwu. Pan Adusz nie miał już na głowie znajomego kapelusza – siedział na nim on sam albo któryś z jego przyjaciół. Koszula wygnieciona, wstążka przesunięta za prawe ucho. Włosy nie były już zaczesane na skronie, sterczały jak się któremu podobało – każdy w inną stronę.

-Taka jest moja Diana!- krzyczał pan Adusz, waląc w stół. - W zeszłym roku chwyciła za ucho dzika – ważył ponad trzy kwintale – i przyciągnęła go do mnie na polankę. Szedł posłuszny niczym dziecko, tak go ujarzmiła. Widział, jak celując w niego z flinty, wiedział, co się z nim stanie – a stał prosto niczym świeca, dwadzieścia kroków przede mną – tak go wyśmienicie trzymała!

-No, Adusz, już nie pleć!- wtrącił się jego sąsiad. - Dzik się tak nie da trzymać jak dziecko.

-Ale ten się dał! przysięgał pan Adusz, bijąc się w piersi. - Bo się ruszyć nie mógł. Diana go...

-To chyba tylko taki wypchany. Dzik rzuci ryjem, ani się Diana nie ruszy – już jest martwa. Po co by mu zęby były? Takie duby smalone to głupcom gadają, a nie...

-Ale trzymała go, no przecież mówię! Pan Adusz walnął w stół, na skroniach wyskoczyły mu żyły. - Sam żem go zastrzelił. Prosto w serce żem mu trafił! A skórę to mam na saniach!

-Nie cygań! Żadnych sań nie masz!

-Że jak? Takich jak moje toście w życiu nie widzieli! Podbicie żelazne, boki politura – i ośmiu do nich wejdzie. Towarzystwo się roześmiało. Ondrej też już nie mógł się powstrzymać, zaśmiał się z cicha, uważnie przyglądając się Aduszowi.

-A ty co się śmiesz? Łachmyta jeden! – Obruszył się pan Adusz. - Coś ty za jeden? Ziemianin? Idź do diabła!

Trawa wzruszył ramionami, odwrócił się od pana Adusza i przysunął się do szynkwasu, gdzie za zasłoną z materiału kręciła się cała rodzina Edusza Mayera, życzliwie obsługując handlarzy. -Dureń! - powiedział Trawa, uśmiechając się do karczmarza. Mayer uśmiechnął się bez wyrazu, nie chcąc ani się z nim zgodzić, ani zaprzeczyć – równo cenił każdego, i Trawę, i Adusza. Trawa był stałym gościem, nie zostawiał wiele, ale za to od lat. Adusz był nowy, ale dobrze płacił. Trawa siadł za stół z flaszką i przyglądał się towarzystwu przy sąsiednim stole.

Pan Adusz już w międzyczasie zapomniał o Trawie i gdzie go posłał. Mówił już o czymś innym.

-Niby łasice! Na wysokość – jak ułał. Zdrowe są jak się patrzy! Krzepkie w pęcinach i grzbiecie! A mądre! Cmokniesz na nie, już idą. Potrafią i bez lejców. A z siodłem – jak w kołysce! Ciągną, ile im nałożysz. Krok mają silny. Wóz przeciągną przez Wag, jakby był lekki niczym piórko – a nawet, jak im woda przykryje głowy. Ach, to są koniki!

-A, gdzieżeś je kupił?

-W Dunajcu, w to właśnie lato. Polska partia.

-Dużo żeś za nie dał?

-No zgaduj – zobaczymy, czy zgadniesz!

-Czy ja wiem...?

-Czteryście – równiutko czteryście, co by ich wymierzył.

Sąsiedzi z uznaniem kiwali głowami nad takim udanym zakupem.

A Ondrej przyglądał się i słuchał, o czym się mówi przy sąsiednim stole. Ciekawił go zwłaszcza pan Adusz. Z rozmów się rozeznał, że jest to pan Adusz Domanicki z Domanic i, jak wynikało z jego wypowiedzi – zacny gospodarz.

Towarzystwa przy sąsiednim stole zaczynało ubywać. Ci z wiosek spieszyli się do domu. Przy panu Aduszu został już tylko jeden z przyjaciół, a i ten siedział jak na szpilkach.

-Aduszkule, chodź, będzie ciemno, nie trafisz.

-Ja bym nie trafił? Co by moje konie nie trafiły! Lejce im puszczyć, oczy zawiąże i tak trafią. Pepo, wypijmy sobie! - I tak uderzył szklanicą o szklanicę sąsiada, że wywróciła się, a jej zawartość wylała się na jego świąteczne spodnie. Pan Adusz wybuchnął śmiechem. - Oh, a to ci! Będzie chrzest! Tylko spróbuj mnie nań nie zaprosić!

-U mnie? Oj, bracie, u mnie z tym już koniec. Syna mam na wojnie, już drugi rok, przy artylerii, a już kapral. Ze mnie ksiądz pożytku już mieć nie będzie. Ale ty: młody, zdrowy, świeży – w domu żona młoda, ładna..."

Pan Adusz spoglądał na twarz przyjaciela i łapczywie łapał każde słowo. - No tak, tak, - wygłosił w końcu. - Ładna jest ta moja Zosia, oj ładna, że niech mnie! Więc się nie żarzekam, jak Pan Bóg da... Chłopca już mam – Adusza. Ale się nie wzbraniam. - I jakby na potwierdzenie swoich słów, wychylił szklanicę do dna. - I czeka mnie w domu moja Zosia, oj czeka. - I zapatrzył się na drzwi, jak gdyby ta, co na niego czeka w domu tam gdzieś przy nich stała.

-No chodź, będzie się martwić, gdzie żeś, czy ci się co nie stało, czyś się nie wywalił. Chodź, dziesiąta będzie zanim do domu zajdziesz.

Pan Adusz ani drgnął, ani nie odpowiedział, tylko kiwał głową. - No idę, idę, - powiedział w końcu, ale się nie ruszył. Przyjaciel go chwycił pod pachy, ale wyciągnąć go nie mógł, bo pan Adusz się mu uwiesił na szyi.

-Nie idziesz?

-Idę, ale wypijmy sobie jeszcze jednego.

-Ja nie – chodź!

-Nie idę, idź sam!

Pan Adusz patrzył na przyjaciela, jak się zbiera. Kiedy widział, że ma już czapkę na głowie i kurtkę na plecach, zawołał:

-Czekaj, też idę!

-No czekam.

-A to tak zostawimy? – Podniósł prawie pełną butelkę wina.

- Chodź, na ćwiartkę!

-Nie idę, ciemno jest!

-Nawet po ciemku trafi do gardła - dawaj! - Nalewał mu do szklanicy, chociaż ciekło wokół. -Chodź, wypij sobie! - Odwraca się, przyjaciela już w izbie nie było. - Skąpiec,

łakomiec! - krzyczał za nim i dopił szklanicę sam. Szukał po izbie kogoś, kto by się do niego dołączył. Zauważył Trawę. Podniósł się, niepewnym krokiem podszedł do niego. Gdy się chciał przed nim zatrzymać, zatoczył się. Musiało go to rozweselić, bo się usmiechnął.

Dosiadł się do Ondreja.

-Pijany nie jestem. Wytrzymam od groma. U bacy tyle mogę wypić – o!

-A kto to ten baca?

-Wikary w Chochołowie.

-Ten? Tego znam - odpowiedział nagle poważnie Ondrej . Obwieszczenie Adusza wywarło na nim spore wrażenie.

-Znasz go? Skąd?

-Kupiłem od niego tej jesieni pięć wozów z kapustą. Co prawda, straciłem na niej...

-Bogacz, wielki bogacz! Pieniędzy ma co niemiara. Mojej mamy brat rodzony. A jak mnie lubi! Nawet konie mi podarował

-Te z Dunacja? - zapytał Ondrej.

-Jakie? Te są od niego, nie z Dunajca. Do pracy – i z uprzężą. Dał ją do naprawy. Mówi, weź sobie, pamiątkę będziesz miał.

Ondrej z coraz większym szacunkiem patrzył na pana Adusza. - Taka pamiątka – nie byle co. Gdyby tak mi ktoś...

-A ty go znasz? Kapustę ma, aż dziw bierze. Ale czekaj, no chodź - napijemy się. - Objął go wokół szyi i zaciągnął do swojego stołu. Usiedli, pan Adusz objął go jak kochankę. - Ma bez mała sto i pięćdziesiąt miar wysiewu. Jęczmień niby śrut.

-Po wiośnie kupiłem od niego przeszło pięćdziesiąt miar. Ładny jęczmień był.

-Jęczmieniem handlujesz? - Ondrej skinął, a pan Adusz się zamyslił. - Widzisz, ja mam z okładem sto miar w skrzyniach. Oczyszczony - nawet gołębie by sobie go nie wybierały. Owies - a owies! Syberyjski – baca mi dał trzydzieści miar do siana. Sprzedałbym ci...

Ondrej wysłuchiwał Adusza i serce w nim rosło. Przeszło sto miar jęczmienia, a owsa mało co tyle samo, - dumiał – Człek podchmielony, miętki - da się z nim dogadać. Ale nie pokazał nic po sobie. - Jęczmieniem handluję tylko przed wiosną, gdy potrzeba go do wysiewu i w przednówku, gdy mącznice są puste. W zimie źle się handluje zbożem - odpowiedział Aduszowi.

-Do diabła źle – kup tylko! Tanio oddam.

To Ondreja uradowało. Ale jego oblicze nie było radosne, raczej zamysłone. - Gdzie bym go zesypał? Nie mam takiego spichlerza...

-Na strych, byle gdzie, - doradzał mu pan Adusz.

-Myszy w tym roku jak mrówek, przemiela go na kaszę. Strata pewna.

-Na co masz pułapki? - przerwał mu pan Adusz.

-Ziarno się skurczy, a wszystko, co dobre wymarzenie, a na wiosnę w skrzyni zostaną same tylko łuski.

-Jak się skurczy – wody masz krocie. Pokropisz go.

-Ogień się chwyci, spali się – i do kogo mam iść po zwrot za moją stratę.

-A tam, spali się! Nie damy cię. Kup, kup!

-Ojoj, pieniążki lepsze są, - i uderzył się w pierś, gdzie za kozuszką miał wciśnięty olbrzymi portfel pełen banknotów.

Pan Adusz powoli tracił cierpliwość i nie chciał już rozmawiać o tej sprawie, ale słowo „pieniężki” przykuwało jego uwagę. Nakłaniał wahającego się Ondreja - No kup żesz! Tanio dam, pół darmo – po dwa czterdzieści. I tylko tobie. Ale nie gadaj nikomu, przed bacą ani słówka!

-Pieniędzy tyle nie mam, - wykręcał się Ondrej.

Pan Adusz z pogardą spojrzął na Ondreja. Cofnął ramię, którym go wcześniej obejmował za szyję. Usiadł z dala od niego i odwrócił się.

-Panie Adusz! - po chwili Ondrej się przymilał. Trochę się przestraszył, że ten interes się psuje. -Za ile go dacie?

-Jakżeś żebrak - nie kupuj! Za nic. - I pan Adusz łokciem odtrącił go od siebie.

-Ja żebrak? A to co, sieczka jest? - Wyciągnął kiesę i otworzył ją przed nim. Banknoty leżały ściśnięte jak kartki w jakiejś starej książce. - Mamy się jeszcze czego złapać.

-Za dwa czterdzieści - rzekł pan Adusz.

-Powiedzieliście dwa trzydzieści.

-Niech będzie - dwa trzydzieści. Już słowa dotrzymam. Sto miar jęczmienia, dwa trzydzieści – przybijcie!

Ondrej tak bardzo się nie spieszył. Targował się, dopóki nie wytargował dodatkowego grosza na miarze. Zawołał karczmarza. Wytłumaczyli, na co się dogadali. Ondrej na jego oczach położył dziesiątkę, zaliczkę dla Adusza. - A kiedy mam przyjść odebrać?

-A choćby i jutro - rzekł pan Adusz. - Wina, winka do tej flaszki – będziemy mieli litkup!

-Dobrze, więc - zgodził się Ondrej - zatem jutro. Ale nie mam ani wozów, ani koni - powiedział zapobiegawczo, kując żelazo póki gorące.

-Odwiozę – w stajni u mnie koni co niemiara; nic nie będę chciał za to, no bo konie moje...

-A pewnie - zgodził się Ondrej. - Przecież od początku tak targowałem.

I interes, jak się patrzy, litkupem opatrzyli.

*Tłumaczenie: Magdalena Jaśa-Łazowska, Róża Myśliwiec*

## Dies Irae – Dies Irae

(fragment)

(1893)

„...i tak przyjdzie się rozliczyć” Botto

Pandur Stefcio Sroka kroczy wojskowym krokiem w górę wsi. Kapelusz na plecach, kapota rozpięta; tylko wariat szedłby z miasta do Łomnicy w takim skwarze. Z czoła mu ciurkiem kapie pot; czuje się jakby był w gorącej kąpieli. Odetchnął, oczom jego ukazał się nowy, schludny, wiejski domek z napisem „Sołtys wsi Łomnica”. Wszedł prosto na przestronne podwórze. Brama otwarta na oścież, jakby gościom na powitanie. Drzwi do domu zamknięte, za to stodoła otwarta na przestrzał. Można by przez nią spojrzeć aż na sąsiednie pole, gdyby widoku nie zasłaniał wóz, z którego właśnie zrzucają żyto. Parobek przerzuca widłami snop za snopem do zasieka.

-Szczęść Boże! – woła Stefcio spod bramy.

-Bóg zapłać – dziękuje parobek, przerywając pracę.

W przesmyku zjawiała się kobieta w kwiecie wieku, ubrana niemalże odświętnie. Przecież już żniwa, kobiety chętnie się stroją. Biały, wykrochmalony czepiec ładnie odbija się od opalonej, rumianej twarzy. Przy boku kobiety pojawił się mężczyzna, zdrowy i ogorzały, wytarł twarz szerokim rękawem. Spod ciężkiej czapki zwisały mu całe pasma gęstych, ciemnych włosów, sięgające niemalże pleców. Między nimi kolce i żdźbła słomy.

-Witajcie Stefcio! – woła chłop od progu – coście nam dziś przynieśli?

-Toto pismo od władzy – podaje gospodarzowi.

-A co dobrego? – pyta się on, nie spoglądając nawet na pismo. Wkłada je pod czapkę, gdzie ma już fajkę i krzesiwo.

-A, nic takiego – odpowiada Stefcio, wycierając twarz. – Drugi dzień już chodzę po wsiach, same pisma. Idzie podobno cholera, stąd to pismo.

-Cholera! – wykrzyknęła kobieta.

-Naprawdę cholera, sołtysowo miła. Jakoś z Turcji przylazła i mówią, że idzie do nas. Jak jej mróz nie zmorzy, tak amen – tylko testament pisać.

Beztraska twarz sołtysa spoważniała. Wyjął pismo zza pazuchy i czyta, co w nim napisane. Reszta czeka, co powie. Przeczytał, złożył i schował tam, gdzie było.

-No, jeszcze nie u nas – mówi beztrasko – Ludzie robią raban tam, gdzie nie trzeba – Z tymi słowami obrócił się do Stefcia, z uśmiechem jak do swego: - A teraz dokąd?

-Do Żabian – odpowiada Stefcio jakby niechętnie. - I tam noszę pismo.

-No, tylko wiecie, no! - I sołtys roześmiał się przyjaźnie, a za nim pozostali.

-No co! Zobaczcie, tu je mam! – unosi pismo nad głową, jakby chciał je podać sołtysowi.

-A jakże się miewa żona? - pyta sołtys, tym razem już poważnie.

-A, ja sam nie wiem.

-No już, już. – zmieszala się sołtysowa – To wyście jej już chyba z tydzień nie widzieli?

-No, tak jakby. Co żniwa ona w polu, a ja w mieście albo po wsiach. Za darmo. - westchnął – ale widać tak już musi być.

*Źródło: Aleksandra Czernek, Olga Rojek*

## Wigilia - Štedrý deň

(fragment)

(1897)

Dobiegliśmy pod dom. Tak właściwie to biegł „mój” koń (prawdziwy konik hercegowińskiej krwi), a ja wiozłem się na nim. Smukły koń o zgrabnych nogach z gęstą grzywą, osiodłany, wprawdzie, chłopskim siodłem z całym rynsztunkiem, strzemionami i popręgami do przywiązania kulbaków. Biegł drobnym krokiem, kłusem, podczas którego kołyszysz się w siodle niczym w kołysce i nie czujesz najmniejszego znużenia. Ba, utrzymał ten swój drobny kłus i pod górę, drogą, która wiję się serpentyną, wchodząc do naszego miasta od strony morza.

Podczas takiej jazdy najprzyjemniej jest rozmyślać i marzyć. Myśli przechodzą jedna w drugą tak, że mógłbym je nawijać na kołowrotek i spadać do morza zapomnienia, pełnego lub częściowego. I tak podczas tej podróży zanurzyłem się w myślach i zapadłem w przyjemne sny.

A czego dotyczyły te moje sny? Można powiedzieć, że się kłębiły w ciepłej izbie z płonącym piecem, rzucającym czerwoną smugę na ściany – ale tylko na ściany, bo ta „swojska” izba ma niewiele więcej, prócz tych czterech ścian. W izbie, w której można by zrzucić gruby, krótki płaszcz, podwójnie podszyty i odetchnąć jak w domu.

Na „piaci” jest żywo i wesoło. Wokół stołu, pod starą morwą panuje ogromny ścisk. Każdy, kto ma zdrowe nogi i łokcie, pcha się, ciśnie, dobija do stołu, na którym stoją staroświeckie wagi szalkowe. Słychać do tego wrzaski i krzyki. Widać kobiety, służki i gospodynie, bez chustek, z gołymi głowami, z miską albo talerzem, jak wyciągają głowy jedna ponad drugą, przedkładają miski, talerze, proponują pieniądze. Ale i kilku mężczyzn, ba, nawet i poważnych obywateli, wmieszało się do tego ścisku. W tym całym zamieszaniu jedynym trzeźwo myślącym człowiekiem jest sam rybak, który, jak przypuszczam, dopiero przed chwilą zawitał tu ze swoim dzisiejszym połowem. Spokojnie waży, dzieli, bierze monety, prawie wcale nie zważając na piekielny tumult wokół siebie.

Bezręki Šime – nawoływacz naszego targu – oddzielił się od krzyżących ludzi i idzie w dół ulicy, rycząc niczym bawół: „Eno ugori po petdeset šóldih kilo-o.”<sup>2</sup>

- Co, kongery? A kto je przyniósł? - pytam się uradowany. Węgorz wygląda bardziej jak wąż, jest jednak delikatną, smaczną rybą, szczególnie, kiedy jest wielki. Wtedy ości nie zawadzają.

Ale nikt mi nie odpowiada, wszyscy są zajęci rybakami i rybami. Z tej wysokości, na której się znajduję, widzę jedynie głowę rybaka w lnianej czapce. Twarz nieznajoma, widać rybacy spoza miasta przyszli na nasz targ.

Kiedy tylko stary stryj Tomić wyjrzał zza węgła i spojrzał na mnie tymi swoimi zamglonymi oczami, trochę zapuchniętymi, podszedł do konia, chwycił go za uzdę i trzymał, póki nie zeskoczyłem.

-I jak, kupiliście ryby, barba Tome? - zapytałem.

- Nie wiem, mój panie. Wiecie, w domu jest gospodyni – ona rozkazuje. A ja? Nuże, do ogniska – bochenek i dzbanek; to jest moje. - zaśmiał się jakoś tak wesoło, a w wąskich ustach pokazały się dwa czarne zęby, bardzo wystające.

- No, nie będzie chyba tak źle – pocieszam go – jeszcze do niej przywykniecie.

- Przeca zła nie jest – tego nie można powiedzieć. Ale wiecie, jakie są kobiety.

- Czasem cudza lepsza jak własna.

- Daj Bóg i święty mój Tome! Westchnął stryjek Tomić.

Mój „momak” – poganiacz koni dopiero teraz przybiegł. Nie chciało mu się przeprowiać z koniem przez wzgórza. Bo i tak wiedział, że „parip” jest oswojony, bezpieczny, chociaż zarzuca grzywą i parska z energią, przestępując z nogi na nogę, niczym w tańcu. Wziął lejce z rąk stryja Tomića i przywiązał konia do drzewa. Potem odwiązał od siodła torbę z lekarstwami i przyrządami, którą taki wiejski Eskulap wszędzie ze sobą nosi.

W izbie zimno. Jakaś wilgoć; lepi się do palców i przenika do szpiku kości. Jest tym dotkliwsza, że na zewnątrz jest przyjemnie, słonecznie, a od morza płynie powietrze, w którym wyczuć można pierwsze oznaki wiosny. Dzieci i starcy przesiadują w słońcu, wygrzewają zdrętwiałe kończyny, przekonani, że słońce to jednak słońce i ogrzeje lepiej niż niejedno ognisko. Zima tym smutniejsza, że ogień nie ma gdzie trzaskać i szerzyć błęgiego ciepła w domu, gdyż nie ma pieca.

„Momak” pojechał z lekarstwami i koniem do sąsiedniej wioski, z której wcześniej przyjechał po mnie. Ja przeszedłem do drugiej izby, na „letnisko”. Letnisko dlatego, że jest ono skierowane na południowy-zachód i kiedy rozproszą się chmury, i otworzy się okiennice, słońce je ogrzeje i w Wigilię. Latem jest wiecznie zamknięte, bo panuje w niej afrykański spiekota.

Na letnisku zrobiłem z siebie „komod”. Naciągnąłem na buty filcowe papucie a la praski pan w domu, ubrałem wygodny, ciepły szlafrok z szerokimi rękawami a la Muhamed beg Osmanpaszić i rozłożyłem odpowiednio rozpalone węgle w glinianym rondlu weneckiego pochodzenia. Ukłęciłem sobie papierosa z przemycanego tytoniu i czułem się jak w domu.

<sup>2</sup> Eno ugori po petdeset šóldih kilo-o (z chorw.) - Hej, kongery po pięćdziesiąt monet kilo!

Dobry i taki odpoczynek. Od rana schodziłem całą sąsiednią wioskę, od domu do domu, jak z kołędą. Szerzyła się tam odra i wszystkie dzieci położyła do łóżek. No a dzieci jest tam tak samo, jak i tu, niezwykle bogactwo. Potem, na dobrą sprawę, nie jadłem obiadu, ba! Śniadania też nie. Rano dostałem czarną kawę, bo nie godzi się pić białej w Wigilię. A kiedy tułałem się po domach, w każdym czegoś

spróbowałem, inaczej być nie może. Figi, migdały, ciasta, kompoty, pączki smażone na oleju, suszone gruszki. Zapijaliśmy te łakocie rakiją lub słodkim winem. I chociaż mój żołądek zmienił się w „jezioro ognia”, to przecież tylko przypomina, że nie dostał dziś nic solidnego.

*Tłumaczenie: Aleksandra Czernek, Olga Rojek*

## Dom na uboczu – Dom v stráni

(fragment)

(1911-1912)

Nie ma domu, gdzie się nie dymi w kominie.

W przysiółku pod Grabovikiem, niczym przyklejone do stromego zbocza stoją domy braci Berców. Idąc od strony wsi, a w zasadzie miasta, przejdiesz najpierw obok domu Ivana, potem Francicia, a trzeci dom to ten, w którym mieszka Mate. Ivan jest najstarszy, Mate najmłodszy z nich. I domy tak samo. Dom Ivana jest najstarszy i najmniejszy, Francicia jest nowszy, a pod nim piwnica z olbrzymimi beczkami, Matego jest już całkiem nowy, z pewnym powiewem luksusu, choć co prawda wiejskiego.

Franić dość dawno postawił swój dom, ale go nie dokończył. Wygląda w nim wszystko jakoś tak prowizorycznie. Cztery ściany z grubsza zapaćkane zaprawą, podłoga z desek, pod którą znajduje się wspomniana piwnica, ale powały jeszcze nie ma. Są tylko belki, poprzykładane i wmurowane tak, że z izby można zobaczyć całą konstrukcję wiejskiego dachu, najsolidniejszej części domu. Na rogach są przybite deski, a na nich poukładano płaskie kamienie, pięknie jeden na drugim niczym gont albo rybnie łuski, tak że woda może ściekać bez przeszkód. Żeby burza nie dostała się szparami i nie naruszyła całej konstrukcji, bo burza łatwo mogłaby zniszczyć nawet taki dach – dach jest z zewnątrz zalepiony zaprawą i pięknie polany wapnem. Na belkach rozwieszono są męskie i damskie koszule, inne ubrania i bielizna, ba, nawet skórzane worki, w których nasz bohater przenosi sok i wino, olej i w ogóle wszystko, co jest cieżką, według potrzeb i wodę z pobliskiego stawu albo zalewu. Dom istnieje zatem tylko dzięki jednej izbie, bez sieni, kuchni czy innych pomieszczeń. Trzy okna szeroko spoglądają na miasteczko, gdy drewniane okiennice nie są akurat zamknięte, jednym oknem i drzwiami spogląda wprost na przedmieścia Grabovika, porośnięte ostrokrzewami, mirtem i jałowcem, nad tą gęstwiną góruje gdzie-niegdzie sosna swoją monumentalną koroną albo dumne, stare, siwe drzewo oliwne. W obu szczytach poddasza, którego, jak widzieliśmy, jeszcze nie ma, też jest jedno okno. Na razie tylko wróble chowają się tam przed niespodziewanymi ulewami.

Przecież nie można się w takim domu czuć jak u siebie. Niemniej jednak i taki dach nad głową chłopu odpowiada w tym klimacie, gdzie zresztą ani prawdziwej zimy się nie

uświadczy. Ale niech nikt jednak nie sądzi, że Franić jest człowiekiem zaniedbanym. Przeciwnie, jest chłopem, albo jak się tu mówi, gorliwym rolnikiem. Gdyby miał coś w kuferku, szybko by dom oporządził. Ale po co trwonić grosz, kiedy dzieci jeszcze nieodchowane? Kiedy chłopcy dorosną i przyjdzie im się żenić, łatwo wydzielić każdemu pokój, pokryje też sufit i narobi izb, ile tylko będzie trzeba, także każda para będzie miała jak się należy. Desek na składzie ma zawsze dość paron<sup>3</sup> Mikula, który swoim trabakulem<sup>4</sup> dowozi wino do Rijeki, a w drodze powrotnej obładuje się tu i tam deskami i belkami z rozległych lasów w okolicy Delnicy i Ogulina.

Najstarszy brat, Ivan, został sam w starym domu, z niego wylęła się cała rodzina Berców albo, jak ich tu przezywają, Pretorów. Pretor znaczy sędzia albo też ten, który kiedyś u nas był podkomorzym. Którys przodek obecnych Berców był ponoć wybitnym człowiekiem, dlatego mu takie przezwisko nadali. Chałupa jest niewielka, o małych okienkach, też tylko z drewnianymi okiennicami. Powały w niej w ogóle nie ma, bo by izba była przyniska, dlatego dach jest wyłożony od wewnątrz deskami, jak to bywa w izbach na poddaszu.

Już w tych czasach budowano wyłącznie takie domy. Żyło się prosto, samotnie, ale o biedzie też nie było mowy. Kawy się wtedy nie pijało – pijało się wino, a zimą rakiją – destylat, który każdy mógł sobie robić sam w domu. Wody w ogóle nie pito, nawet teraz działa na żołądek jak ołów. Wspominają też, że się nie paliło. Jedyne stary dziedzic Nade – weteran Armii Napoleona, do tego oficer, duma naszego miasta – który widział piękny kawał świata i *staruju Moskvu*, skąd wrócił niedrażnięty, tylko na uszach i nosie skóra mu zesza od rosyjskiego mrozu – ten pan Nade palił ogromną fajkę, doglądając w polu swoich parobków. Za to tabaki zażywał każdy, jak mówi stara kronika; zażywała i stara Reparata, ta sama, która podarowała ten ciężki, złoty łańcuch patronce naszego miasta, błogosławionej Matce Boskiej z Carmen, której rzeźba z wspaniałą, złotą koroną ozdabia nasz główny ołtarz.

Z rodzinnego domu poszedł najpierw Franić, a kilka lat później i Mate. Mate ożenił się dość późno – po trzydziestce. Całe dzieciństwo i młodość spędził na morzu, zawsze pod dowództwem starego kapitana Dubczicia. Wtedy młodzież tak łatwo nie odchodziła od swoich panów, zwłaszcza takich, jak sławny kapitan Luka Dubčić, znany

<sup>3</sup> Z włoskiego – właściciel (łodzi)

<sup>4</sup> Trójmasztowa łódź używana do transportu na Adriatyku

we wszystkich portach Adriatyku.

W końcu zdruzgotało mu się życie żeglarza z jego radościami i smutkami. Przyszedł mu do głowy dom pod Grabovikiem, w toni ostrokrzewów, wróciły wspomnienia zboczy porośniętych mirtem, który Bóg stworzył, aby go ludzka ręka wykarczowała, przekopała, obsadziła winoroślą i tłoczyła z niej ognisty napój, który rozwesela duszę człowieka. A chyba najlepiej przypomniał sobie czarne oczy, które go przyciągały, aż go nie zwabiły z powrotem do rodzinnego miasta. Z tego, co zaoszczędził postawił dom, dużo bardziej elegancki niż dom Francicia. Widział kawał świata, miał większe wymagania niż brat-domownik, wychowany w prymitywnych warunkach. Trochę ziemi dostał od braci, a resztę wziął w kontrakt od kapitana Luki, który właśnie wtedy wykupił całą pańszczyznę w miasteczku. Tak Mate Berac nie zmienił gazdy, po prostu stał się z żeglarza parobkiem tego samego kapitana Luki.

Ledwie stanął dom pod dachem, nasz Mate się ożenił. Jera była czarnooka, zgrabna, zwinna jak kot. Do roboty jak pszczoła, sama swoimi rękami pomagała mężowi karczować, przekopywać, sadzić i zakładać winnice, zwłaszcza póki nie mieli dzieci. Kiedy winnice zostały założone i zaczęły przynosić dochód, ograniczała się do zwykłej pracy na roli. Pod jej gorliwą ręką nic się nie zniszczyło, wszystko szybko i bujnie rosło. Mate prześcignął w dobrobycie obu starszych braci, wyprzedził wielu innych rolników, którzy mieli pełne beczki, kiedy on jeszcze karczował w pocie czoła. Jego dom utwierdził się w fundamentach, zabezpieczył na przyszłość, podczas gdy inne, pierwotne, solidne domy osiadały z fundamentami pod naporem ciężkich, nowych czasów.

Mate rozszławił ród Pretorów. Kiedy przychodzi między panów i między nimi ma posłuch. Jest członkiem komitetu kościelnego – rady kościoła – a tym samym dogląda pracy w winnicach kościelnych, rozdziela gromnice na dorocznych świętach w kościele i w czasie procesji trzyma klucze do wielkiej skrzyni, która jest w zakrystii, a w niej woskowe świece.

W życiu prywatnym też miał szczęście. Odchował syna, Ivana, i dwie córki – Matiję i Katicę.

Zmiana w jego życiu nastąpiła, gdy Ivan się zenił. Dzisiaj ma już dwóch synów, którzy rozweselają cały dom. Matka musi ich stale pilnować, jak to w obecnych czasach. Wydaje jej się, że zaraz któryś złamie nogę albo, uchwaj Boże, skręci kark, gdyby nie było jej za ich plecami. Ale i to prawda, że ciągle wążą na mury i zabudowania, którymi ogrodzone jest podwórze albo na jakiejś „fortyfikacji”. Nie dziw, że Barica nie ma sił biegać za nimi cały czas. Ale Jera nie chce tego uznać. Narzeka na jej gnuśność, skarży się, że wraz z synową nie przyszła do domu pomoc, ale niepokój i nowe zmartwienie. Barica, najpierw potulna, ustępliwa, zaczyna teściowej odburkiwać. Tak się nieraz zaczyna między nimi prawdziwa kłótnia. Teściowa nie ustąpi: ona na wszystko zapracowała swoją krwawicą, ona nie przyszła na gotowe, ale walczyła całe życie, od rana do wieczora. Synowa nie ustąpi: wydała na świat nadzieję i chlubę rodziny Pretorów,

załączek przyszłości – małego Matego i Ivana. Ona ciągle zajmuje w domu ważne miejsce...

Takie starcia załatwiało się na początku potajemnie. Gdzieś w kuchni albo w kącie, naprędce, tak jakby mimochodem. Nie byłoby dobrze, gdyby się o nich dowiedział gazda. Surowy jest, nieprzejednany – wszak Pretor z krwi i kości. W końcu jednak grzech wybuchł tak prędko i bezwzględnie, że się go już nie dało zatuszować. „Nikczemnica!” – szepnęła Jera synowej w kuchni z powodu jakiejś głupoty. „Stara strzyga!” – odpowie jej Barica.

Jera ją za to szturchnęła łokciem, a Barica odezwała się już wtedy na głos: „No co do mnie zaś macie, mam?” – zawołała porządnie głośno, żeby usłyszał stary Mate, który jest gdzieś we dworze. Dlatego ją nazwała „mamą”, bo starej strzygi by jej teść raczej nie odpuścił. „Byście się przynajmniej świata wstydzieli, kiedy Boga się już nie boicie! Nie mogę przejść obok was, żebyście mnie nie szturchnęli?” „A co to znów?” odezwał się Mate i spojrzął na kobietę surowym okiem, kiedy wyszła na dwór. „Wam się zdaje, że ja nie wiem, co wy od dawna wyprawiacie, kiedyście same? Wiem dobrze, ale brzydziłem się mieszać między was. Ale już nie będę przymykać oka jednego ani drugiego i zatykać uszu, bo byście się pomału zaczęły wlec za włosy, bezwstydnice! W moim domu będzie spokój i porządek – weźcie to sobie do serca. Jestem gazda, mnie każdy będzie słuchać...”

Zamilkły obie, nie odważyły się ani westchnąć. Rzadko kiedy słyszały takiego starego; jego głos nigdy nie był taki twardy, a wygląd taki surowy. Dzięki niemu ucichła od razu domowa burza, nastąpił spokój oraz porządek.

Jera pierwsza otrząsnęła się po reprimendzie i zaczęła kręcić się koło męża, jakby mu chciała pomóc układać drzewo w stos. „Nawet nie wiesz, mój Mate, jaka to jest udręka ta nasza pierwsza synowa” – zaczęła płaczącym głosem. Ja już nie wiem, gdzie mam się podziać z tego zmartwienia... Tłucze ci się po domu jak mucha bez głowy. Co chwyci w ręce, wszystko jej idzie na odwrót. Jak tu patrzeć na taką podłość? Tylko co mi naczynia porozbijają po domu. Wszystko się marnuje, a powiedz słowo – wzrok zaraz w ziemię, obrzydliwe pomówienie, grzech i krzyk... „Ustąp, jesteś starsza, powinnaś mieć swój rozum. Mądry ustąpi. Przecierp – Bóg znosi i ciebie. Kiedy nie będziesz z nią zadzierać, sama się poprawi, tak to ją tylko jeszcze gorzej zepsujesz. W robocie jej nie przeganiaj; widzisz, dzieci ma małe. Kiedy twoje takie były, też nie było w domu wszystko w porządku... No, no, nie trzeba się zaraz za to dąsać, wiem, że byłaś dobra gaździna. Nie było w porządku, bo nie mogło być, nie kręciło się, to się przeskoczyło. Ty masz świecić dobrym przykładem każdemu, jesteś gaździna. Ale takim postępowaniem dajesz zły przykład, a ja tego znosić nie będę, to bez sensu!”

W sercu Jery został cień. Ani on mnie nie rozumie – ani on mnie nie doceni. Ja już nie mam miejsca w tym domu. Ja go

pomagałam budować, a inna się w nim będzie panoszyć. Tylko, jak on może ganić ją, swoją żonę, a bronić innej? Czy to sprawiedliwe i słuszne? – Mąż, który powinien wytrwać przy swojej żonie i w radości i w smutku!

Mate od razu dostrzegł, co ją martwi i gryzie. Drwa poukładał w stos przy murze ogrodzenia, a kiedy mu przyniosła wino i chleb i położyła go na wykrzesany z białego kamienia stół, który stoi przed domem, odezwał się do niej serdecznie, przyjacielskim tonem: „Wiesz ty, ćerće<sup>5</sup>, jestem gazda i chcę mieć w domu spokój i porządek. Niechże będzie spokój pod moim dachem. Tobie mówię, ciebie strofuję, boś moja żona. Tę tam, gdybym pokarał, to by już było co innego. Tamtą niech upomina inny, którego jest żoną.” „Ale żeś zgadł, akurat!” chciała już zawołać Jera, ale ucichła. On podniósł palec, jakby grożąc i popatrzył na nią surowym okiem. „Wiem, co chcesz powiedzieć” odezwał się z westchnieniem żalu, „wiem, nie trzeba tego roztrząsać. Dlatego ciągle powtarzam, że gazda ma być mężczyzną, on ma rozkazywać i rządzić. Tym gorsze, kiedy jest na odwrót. Taki dom nie może wzrastać i się rozwijać, gdzie nie ma gazdy...”

Ona odeszła trochę wyciszona, zadowolona, bo w tych słowach widzi, że mąż uznaje jej prawdę. Na pozór ją oskarża, karci, ale w sercu trzyma przeciw z nią. A wszak to jest dla niej zadośćuczynienie.

*Tłumaczenie: Marek Karweta, Kamil Kazanowski*

---

<sup>5</sup> Chorwacki zwrot do córki lub serdeczny zwrot do żony



**Dana Podracká**  
**Mieszkam wysoko, tam gdzie są dzwony - Bývam tak vysoko ako sú zvony**  
**(wybrane fragmenty)**

Monodram o Martinie Kukučínie (1860 – 1928)

Napisala Dana Podracká

Wykonanie sceniczne: Michel de Maulne

*Na scenę wchodzi Kukučín w stroju z epoki, jest rok 1927, ma fryzurę z przedziałkiem, bródkę. Przychodzi w roli lekarza. W ręce ma lekarski kufer. Siada za stołem. Na stole stoi dzbanek z wodą i szklanka.*

Słyszycie to ciche popiskiwanie? Pewnie nie. Ale ja je słyszę.

Za ścianą leży pacjent.

Pacjenci nauczyli mnie wczuć się w każdego.

Wczuwałem się w nich. W ich oddech. W rytm ich pulsu.

Wiedziałem, kiedy wołają mnie, a kiedy Boga.

Nawet kiedy nie byli w stanie ruszać ustami.

Leczenie to empatia. Literatura także. Kto nie ma empatii, niech raczej nie próbuje pisać. Zmarnowany czas.

Wczuwać się jak matka w dziecko, wyczuć nawet bez słów, co się dzieje. Nawet na odległość. Zza ściany.

Wziąłem sobie nazwisko na cześć mojej matki.

Nazywali ją Kukuča. Miała zapalenie spojówek, oczy zawsze trochę przymrużone.

Nomen omen.

Dała mi na imię Matej. Ten, co pisał, był Martin.

Jestem Matej Bencúr i jestem też Martin Kukučín.

Kukuczy syn.

*Kukučín otwiera kufer i wyciąga kawałek bandaża. Powoli go rozwija. Jest w nim kula. Wrzuca kulę do szklanki na stole.*

Przemokłem do suchej nitki. Schowałem się w chłopskiej chacie, żeby się trochę wysuszyć.

Powiedziano mi: Chyba zesłał nam pana sam nasz Pan Bóg!

Jest pan lekarzem? Jestem, powiedziałem. O co chodzi?

Pomocy! W przedniej izbie leży nasz syn!

Cały we krwi!

A potem nagle ucichli i zaczęli mówić szeptem.

Wyczułem, że w domu coś się stało, pomiędzy swoimi.

Mieli to wypisane na twarzach, zwłaszcza matka.

Zapytałem: Kto? A ona szepnęła: Brat na brata.

Przysięgi Hipokratesa nigdy nie zламаłem.

W gabinecie w małej ramce miałem cytaty Horacego:

Dulce et decorum est pro patria mori.

Słodkim i szlachetnym jest umrzeć za ojczyznę.

Ojczyzna jest tutaj i jest też za ścianą. Jest za każdym zwojem papieru.

Kiedy zapisałem tekst na papierze, był jak membrana, dzięki której byłem blisko, byłem tak blisko, że wszystko było na wyciągnięcie ręki.

Tak jak teraz. Jak w każdej chwili.

Wierzę w człowieka, ziemię i dobytek. Jak starzy Słowacy.

*Kukučín zaczyna poruszać kulę w szklance. Kilka razy krąży nią po dnie, potem zatrzymuje i zaczyna nią dzwonić o szklane ścianki.*

Szczęśliwa śmierć! Tego pragnęli moi przodkowie.

Wierzyli, że szczęśliwa śmierć zbawi człowieka cierpienia i umożliwi mu przejście do ojczyzny.

In Patria.

Tam, gdzie nie będzie się czuł uciskany

i mimo wszystko, przynajmniej będzie swobodnie oddychać!

*Kukučín znów otwiera kufer lekarski. Przygotowuje lek dla chorego przy pomocy małej miarki lub w inny sposób, jak to robią lekarze. Kukučín kończy lek. Potrząsa cieczką we flakoniku. Trochę pokaszluje, ponieważ przemarzył w drodze podczas burzy.*

Muszę przygotować lek dla Mateja. I dla siebie.

Podczas burzy przemarzałem.

Lek jest jak słowo. Jeśli mu nie uwierzysz, nie wyleczy cię.

O leczeniu i o lekach nauczyłem się wiele

od rolników, włościan i od cyganów.

Porównywali byliny z chorobami

na podstawie ich kształtu. Wiedzą, że przyroda

jest tworem Boga. Noszą w głowach

laboratorium doświadczeń, tak jak barometr

w kościach. Według nazwy rośliny da się określić,

co leczy. Na przykład: Krwawnik pospolity,

Achillea millefolium. Język przyrody jest bardziej kompleksowy

niż język, stworzony przez człowieka.

Mieszać leki nauczyłem się od Pascala.

Z jego książek dowiedziałem się, że rzeczy niewidzialne trzeba poznać tak, jak widzialne.

Kto nie pozna widzialne,

jak mógłby uwierzyć w niewidzialne! Nijak.

Lek ma swojego anioła i ma też swojego diabła.

Krytycy piszą o mnie, że jestem realistą.

Ale nic, co realne nie występuje w czystej postaci.

Jest nasiąknięte esencjami i jadem.

Jedyne, najważniejsze przy pisaniu, to kręgosłup.

Fizjonomia języka. Postać mowy, której używam mówiąc

do siebie, której używam mówiąc do was.

Jakbyśmy wy i ja byli dwoma stronami jednej monety.

*Wyciąga mały krzyżyk, związany sznurkiem, krzyżyk z dwóch trzasek do palenia w piecu.*

Matka chciała, żebym został księdzem.  
Najbliższa szkoła była w Klasztorze pod Zníewem.  
Myślałem o tym. Nawet się zapisałem na  
Ewangelicką Akademię Teologiczną w Bratysławie,  
było to jakoś w październiku, roku 1885.  
Ale – zrezygnowałem.  
Pojechałem do Pragi studiować medycynę.  
Ten krzyżyk podarowała mi jedna rodząca.  
Nigdy tego nie zapomnę.  
Rodziła trzeci dzień. Była przemęczona i już nie dawała rady.  
Już nawet nie zwracała na mnie uwagi.  
Mówiłem jej, jak ma oddychać.  
Słuchała jakby z przyzwyczajenia,  
ale na koniec zebrała resztki sił.  
Włożyła sobie ten krzyżyk między zęby i wypchnęła dziecko.  
Nastała cisza.  
Taka cisza może trwać tylko zimą w górskich przysiółkach.  
Przerwała tę ciszę pytaniem:  
Pan jest doktorem czy księdzem?  
Doktorem, powiedziałem.  
Cuciłem to dziecko, to był syn –  
a na końcu – zaczęło płakać.  
Uśmiechnęła się i powiedziała:  
Pan musi mieszkać wysoko, tam gdzie są dzwony.

*Kukućin zaczyna przygotowywać leki dla Mateja, pije wodę.*

Duchowo nigdy nie opuściłem Słowacji.  
Najbardziej ją czułem, kiedy byłem w podróży i sam.  
Na grzbiecie mulicy.  
Iść za pacjentami nigdy nie było dla mnie za daleko.  
Byłem w podmuchu wiatru. Rozmyślałem.  
W podmuchu wiatru rodziły się moje postacie literackie.  
Wdychałem je razem z kurzem,  
mieszałem je ze śliną i potem w nocy  
wydawałem je na świat, na mały skrawek ziemi.

*Kukućin patrzy na zegarek i ziewa.*

Czym jest dusza? Często zadawałem sobie to pytanie,  
ponieważ pod skalpelem żadnej duszy nie widziałem.  
Na cielesną niemoc należy podawać cielesny lek,  
na niemoc duchową lek duchowy.  
Tak mało wiemy o duszy!  
Podstawą duszy jest coś surrealistycznego.  
Powiedzieć, że to coś nierealnego, to niewystarczające.  
O duszy wiem tyle, że kiedy zachoruje spiritus,  
kiedy zachoruje duch, zachoruje także ciało.  
A naród? Może zachorować naród?  
Może zachorować don Kichot? Aż boję się to  
powiedzieć na głos. Może. Nawet narody bywają chore.

*Kukućin przechadza się po scenie. Przeciera oczy, ale lek jest już gotowy. Za chwilę wraca do kufru i wyciąga bandaż, zastrzyk lub inny przedmiot medyczny. Kaszle.*

Ile żyć przeżyłem?  
Iłoma ludźmi bywałem?  
Chciałem być nauczycielem, ale to mi nie wystarczyło.  
Chciałem mieć dzieci, żywot mi ich nie ofiarował.  
Chciałem wrócić na Słowację i leczyć,  
nie udało mi się.  
Chciałem opisać wieś i jej ducha, ale wieś,  
o której pisałem z Braczu nie była już rzeczywistą  
słowacką wsią.  
Chciałem – czy to ważne, czego wszystkiego chciałem?  
W tym momencie ważne jest tylko jedno: Żeby Matej żył.  
Żeby udało mu się dokonać tu, w domu, to, co sobie  
zaplanował. Bóg rozłożył nad nami pelerynę tajemnic.  
Pelerynę jednej nocy pod Tatrami.  
Pelerynę miłości.  
Przeżyłeś swoje piekło: brat na brata. Guerra.  
Jest pomazany własną krwią.  
Jest pomazany.  
Słyszycie to? Woła mnie. Matej mnie woła i chce pić!  
Będzie żyć! Będzie żyć!!!  
Dziękuję Ci, Boże! Dziękuję. I tobie, Matej dziękuję,  
dziękuję ci, że żyjesz.  
Mieszkać wysoko, tam gdzie są dzwony!

*Dzwonią dzwony. Kukućin bierze swój lekarski kufer i schodzi ze sceny.*

*Tłumaczenie: Katarzyna Białek*

Dana Podracká jest słowacką pisarką zaangażowaną w działalność polityczną i kulturalną swojego kraju. Pracowała jako pracownik naukowy na Uniwersytecie Komenskiego w Bratysławie oraz jako redaktorka literackiego czasopisma „Literárny týždenník“. Udziela się w wielu organizacjach społeczno-politycznych. Dana Podracká jest autorką poezji (*Mesačná milenka*, 1981; *Zimní hostia*, 1984; *Rubikon*, 1988; *Grizly v spiacom dome*, 1991; *Pismo*, 1993; *Hriech*, 1996; *Meno*, 1999; *Vysoká zver*, 2001; *Kazematy*, 2004; *Kupola*, 2008), prozy dla dzieci (*Sovia hora*, 1984; *Pančuskový telefón*, 1987; *Nezabudni na vilu*, 1991; *Nedočkavý prvák*, 1998), esejów (*Mytológia súkromia*, 1995; *Paradiso, rozhovory so spisovateľom Vladimírom Mináčom*, 1998; *Slovenské tabu*, 2000; *Bytostné stretnutie*, 2000; *Jazyky z draka. Mytológia slovenských rozprávok*, 2002; *Pani Cogito*, 2005; *Zielpunkt*, 2005) oraz form dramatycznych. Aktualnie pracuje w organizacji propagującej literaturę (Literárne informačné centrum), w której zajmuje się przede wszystkim postacią sławnego słowackiego realisty – Martina Kukućina. Napisała o nim monodram *Mieszkam wysoko, tam gdzie są dzwony - Bývam tak vysoko ako sú zvony*.

Przygotowała Katarzyna Białek na podstawie informacji zamieszczonych na stronach Literackiego Centrum Informacyjnego (Literárne Informačné Centrum): [www.litcentrum.sk/39814](http://www.litcentrum.sk/39814)

## O paradoksach życia Martina Kukučina

13 grudnia 2010 r. w Instytucie Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu miało miejsce uroczyste spotkanie z okazji 150. rocznicy urodzin znanego słowackiego pisarza - Martina Kukučina, zorganizowane w ramach współpracy ze słowackim Literárnym Informačným Centrum. Wzięli w nim udział pracownicy i studenci Instytutu Filologii Słowiańskiej, a spotkanie swoją obecnością uświetniła współczesna słowacka poetka i eseistka - Dana Podracká. Słowo wstępu wygłosiły studentki słowacystyki, które przybliżyły życiorys poetki i krąg jej literackich zainteresowań oraz zaprezentowały efekty pracy studentów, którzy w ramach zajęć zajmowali się osobą i twórczością Martina Kukučina. Krótko zaprezentowały różne możliwości percepcji autora - począwszy od filmowej adaptacji opowiadania *Rysavá jalovica*, poprzez dokumentarny film o jego życiu, analizę i przekład jego utworów, zakończywszy na dyskusji o jego skomplikowanych losach życiowych. Dyskusje przebiegające na zajęciach nie ograniczały się tylko i wyłącznie do osoby pisarza oraz jego inspiracji literackich; poruszano także temat jego stosunku do kobiet, wzajemne relacje z żoną Pericą czy tajne pismo, w którym powstały jego ostatnie dzieła.

Spotkaniu towarzyszyła wystawa *Hviezda Kukučín*, przygotowana przez Literárne Informačné Centrum. Na trzech panelach nakreślono punkty zwrotne w życiu pisarza oraz przedstawiono jego pracę w różnych zakątkach świata: w Jasenowej, w Pradze, na chorwackiej wyspie Brač i w chilijskim mieście Punta Arenas. Przy tej okazji wspomniano również, że Kukučín jest jednym z zaledwie dziesięciu pisarzy na całym świecie, posiadającym własną gwiazdę, odkrytą w toruńskim obserwatorium astronomicznym i nazwaną jego imieniem już w 1986 r.

Głównym punktem spotkania był wykład Dany Podrackiej, koncentrujący się na osobie Martina Kukučina, ze szczególnym uwzględnieniem sprzeczności, które zaważadnęły jego życie. Zabrzmiały przy tym krótkie urywki z monodramy, poświęconej autorowi - *Bývam tak vysoko, ako sú zvony*. Poetka podkreśliła dylematy wynikające z połączenia pracy pisarza i lekarza w jednej osobie. Życie Kukučina jako pisarza owiane było tajemniczością. Publikował jako Martin Kukučín, choć tak naprawdę nazywał się Matej Bencúr. Te dwie postawy, choć zupełnie różne, dodawały sobie otuchy w codziennych zmaganiach. Pod koniec życia pisał, wykorzystując tajemnicze pismo, zupełnie jakby odczuwał obawę przed odpowiedzialnością za własne słowa. Jako lekarz - przede

wszystkim leczył słowem, bo głęboko wierzył, że choroba ciała bezpośrednio wynika z choroby duszy. Jak niejednokrotnie podkreślała p. Podracká - Kukučín nigdy nie brał pieniędzy od chorych ludzi, ponieważ było to sprzeczne z jego naturą lekarza - filantropa.

Jego życie przypominało nieustanne zmagania. Chociaż większość swojego życia spędził poza granicami swojej ojczyzny, to ilekroć chciał wrócić, zawsze na drodze pojawiały się przeszkody, uniemożliwiające mu powrót na stałe do ojczyzny. Jego życie prywatne - małżeństwo z Pericą Dodoličovou było oparte na dużej różnicy wieku; dodatkowo dzieliło ich wyznanie - on był ewangelikiem, ona katoliczką. Co więcej, jej długotrwała choroba psychiczna pogłębiła przepaść dzielącą małżonków.

Ostatnia część spotkania była poświęcona twórczości poetyckiej Dany Podrackiej. Studentki przypomniły jej krótkie wiersze *Poklona rebriku* i *Snímanie sochy diktátora*. Poetka zaprezentowała swoje najnowsze dzieło - zestaw dwóch książek: *Morfeus* i *Persona*, które ukazują punkt widzenia kobiety i mężczyzny na te same problemy. Aktualnie poetka pracuje nad tomikiem słowackich elegii.

Spotkanie zakończyła dyskusja, skupiająca się wokół źródeł zainteresowania Dany Podrackiej twórczością i życiem Martina Kukučina, a także podkreślono unikatowość jego dzieł. Dla Dany Podrackiej praca nad postacią Martina Kukučina stała się czymś więcej, aniżeli tylko wypełnianiem obowiązku wypływającego z jej pracy. Jej pełna entuzjazmu opowieść o autorze dowiodła, że z czasem i praca może stać się pasją. Znaczenie dzieł Kukučina tkwi przede wszystkim w ich ponadczasowości - nieustannie skłaniają czytelnika do głębszych rozmyślań i poszukiwania odpowiedzi na pytanie - *kim tak naprawdę jesteśmy*.

Historia życia i twórczości Martina Kukučina ze szczególnym uwzględnieniem jego pracy w różnych zakątkach świata spotkała się ze sporym zainteresowaniem zgromadzonych uczestników. Największą wartością płynącą ze spotkania było wskazanie nowych możliwości interpretacji dzieł Martina Kukučina, zwłaszcza współcześnie, a także zmotywowało do dalszego zgłębiania krętych ścieżek życiowych słowackiego pisarza.

Mamy nadzieję, że studenci Instytutu Filologii Słowiańskiej jeszcze niejednokrotnie będą mieć okazję do bliższego poznania dzieł współczesnej, jak i starszej literatury słowackiej. Słowa wdzięczności kierujemy przede wszystkim w stronę Pani Dany Podrackiej za pasjonujące zaprezentowanie postaci Martina Kukučina oraz Literárnemu Informačnému Centrum za współorganizację spotkania.

Anna Kempa